6 stron z dodatkiem
„ŻYCIE KRAJU"

NOWOŚĆ!
KS. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI
RODZICOM O DZIECIACH
Wykłady o psychologii dziecka
ilustrowane przykładami
M. Małachowskiej.
Stron 110. Cena z przesyłką 4/6.
I.P.A.K. i Katolicki Ośrodek Wydawn.
„VERITAS"
12, Praed Mews, London, W.2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 1/6

NOWOŚĆ!
I. M. BOCHEŃSKI, O. P.
SZKICE ETYCZNE
Cena z przesyłką 15/6
Do nabycia:
VERITAS F. P. CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2

ROK VII. Nr 10/350

LONDYN, 7 MARCA 1954 R.

A. GORAJEK

TECHNIKA – DAR BOŻY CZY DZIEŁO SZATANA?

(Artykuł dyskusyjny)

Gdy pierwsza bomba atomowa spadła na Hiroszimę, gdy w ciągu ułamka sekundy ponad sto tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci nie miało czasu umrzeć, wraz z ubraniami, meblami i metalowymi garnkami przemieniając się w słup pary i gazu, który po kilkudziesięciu minutach wiatr rozwiał po Pacyfiku, przerażenie ogarnęło nie tylko Japończyków, ale wszystkich myślących i czujących ludzi.

Czy bomba atomowa nie jest szatańskim dziełem, wetkniętym w rękę człowieka — dedukując dalej — czy ten cały szalony rozwój techniki, którego ukoronowaniem było wyprodukowanie bomby atomowej nie wiedzie ludzkości do zagłady? Bomba atomowa dała impuls do poważnego zastanowienia się nad tym tematem.

W powojennych Niemczech Zachodnich w r. 1951 został zorganizowany, z inicjatywy najpotężniejszej organizacji zawodowej V. D. J., kilkudniowy kongres filozofów, teologów, lekarzy, socjologów i techników, który był poświęcony rozpatrywaniu zagadnienia rozwoju techniki i jej wpływu na życie człowieka. Koło intelektualistów niemieckich, organizujących corocznie konferencje poświęcone różnym aktualnym zagadnieniom, występujące pod nazwą „Darmstädter Gespräch", zorganizowało w r. 1952 konferencję z udziałem wielu uczonych krajów zachodniej Europy i Ameryki na temat „Mensch und Technik".

W Szwajcarii fundacja naukowa Lucerna zorganizowała również w r. 1952 kongres uczonych, na którym był omawiany i dyskutowany ten sam temat.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zajęto się poważnie tym tematem w ramach nowego ruchu zw. „human relation". W innych krajach Zachodu zajęto się również tym tematem.

W artykule poniższym autor zamierza przedstawić problem techniki najpierw od strony pozytywnej, a potem od strony negatywnej.

Czy możliwe jest ustalenie jakichś związków funkcjonalnych między rozwojem techniki i rozwojem kulturalnym pojedyńczego człowieka, jego stanem umysłowym i poziomem moralnym?

CO TO JEST TECHNIKA?

Zacznijmy od ustalenia pojęcia i definicji techniki.

Według św. Tomasza z Akwinu, technika należy do sztuki i jest cnotą rozumową, pewną dyspozycją rozumu, od której pochodzi zdolność wykonywania określonych dzieł czy przedmiotów. Szwajcarski prof. filozofii z Zurichu, Donald Brinkmann pisząc o istocie techniki, zbierając różne określenia, jakie ukazały się w literaturze na ten temat, ustala cztery tezy:

1. technika jest zastosowaniem praktycznym nauk przyrodniczych;
2. technika jest sporządzaniem środków dla celów gospodarczych;
3. technika jest celowym neutralnym systemem środków;
4. technika jest wyrazem ludzkich dążności do władzy (Machtsträben).

Bezsprzecznie zdobycze wiedzy w naukach przyrodniczych odgrywają dużą rolę w nowoczesnej technice. Technika uważa się za specjalną dyscyplinę, różną od wszystkich nauk, przez to że nie chodzi tu o poznanie, tylko o konstruktywne kształtowanie rzeczywistych przedmiotów. W wielu wypadkach konstrukcje techniczne wyprzedziły poznanie nauk przyrodniczych, jak np. latanie aparatami cięższymi od powietrza uznane było przez czołowych badaczy nauk przyrodniczych jako niemożliwe — w tym czasie, gdy pierwszy aparat uniósł się tajemniczo w powietrze.

Nowe konstrukcje tworzy się nie tylko poprzez znajomość praw natury, lecz często też instynktownie. Popęd do działania technicznego pochodzi ze sfery ludzkiego bytu, leżącej po drugiej stronie świadomości. Wiele wynalazków zostało dokonanych poprzez czysty przypadek. Żadne nowe dzieło techniczne nie zostało stworzone tylko przez obliczenia, jest ono zawsze nową kompozycją, tak jak nowe dzieło sztuki czy muzyki.

Teza, że technika jest tylko praktycznym zastosowaniem nauk przyrodniczych nie obejmuje całkowicie pojęcia techniki.

Faktu, że technika przemysłowa służy celom gospodarczym nikt nie może zaprzeczyć, ale wiele wynalazków i ulepszeń zostało stworzonych bez myśli i pobudek gospodarczych, jak np. wynalezienie maszyny parowej, silnika elektrycznego i wiele innych. Inż. Heinrich Hardensett w książce „Der kapitalistische u. technische Mensch" pisze tak: „Teoria wytwarzania produktów jest teorią handlarską, natomiast teoria wytwarzania przedmiotów jest teorią budowniczą".

Wytwarzanie produktów dotyczy przetwarzania kapitału przy pomocy towaru pracy i środków produkcji w towary i przemienianie ich z powrotem w kapitał celem uzyskania zysku. Teoria wytwarzania przedmiotów dotyczy przetwarzania surowców i energii przy pomocy ludzkich twórczych sił, na przedmioty służące ludzkim celom. Siłą pedną i podstawową systemu handlowego jest korzyść własna, systemu budowniczego — radość tworzenia.

Istotą techniki nie jest wyłącznie służyć celom gospodarczym, lecz wytwarzać środki dla celów dowolnych leżących poza techniką. Że technika jest systemem środków neutralnych, jest kwestionowane przez wielu filozofów. Celem tego artykułu ma być wyjaśnienie czy tak jest, czy też jest inaczej.

Tezę, iż technika jest wyrazem ludzkich dążności do władzy, w związku z ciągle powiększającym się opanowaniem praw natury przez człowieka, w całej jaskrawości przedstawił Oswald Spengler.

Filozof kultury Walter Schubart w dziele: „Europa i dusza Wschodu" pisze tak: „Człowiek prometejski techniczny wkłada całą energię, ażeby wyeliminować przypadek i cud. Co jest irracjonalne rozłożyć w wielkości skończone, dające się zmierzyć, włamać się w tajemnice natury i opanować świat". Przeciwko tej tezie możemy przytoczyć fakt, że wśród ludzi tworzących technikę byli też ludzie głęboko religijni. Ze strony filozofii brak jest głębszej specjalnej krytyki tej tezy, zostaje nam również tu pole do dyskusji.

POŻYTKI TECHNIKI

Wiek XX, w którym przypadło nam spędzać nasz żywot ziemski, nazwano w jego początkach wiekiem pary i elektryczności. Nie przeminęła jego połowa, para przestała być aktualnością, maszyny parowe wędrują do muzeów, wiek już w połowie zmienił swą nazwę na wiek atomowy. Jakie będzie nosił miano w końcowym okresie, trudno dziś przewidzieć. Największe osiągnięcia ludzkości ostatnich czasów są bezsprzecznie z dziedziny techniki. Technika zmienia wygląd zewnętrzny ziemi, zmienia warunki życia, zmienia styl życia i wpływa prawdopodobnie w olbrzymim stopniu na tworzenie się współczesnej kultury. Człowiek wysiłkiem mózgu rozbija skorupę otaczającą tajemnice natury, wydobywa je na światło dzienne, ujarzmia je i zaprzęga w swoją służbę. Wszakże Stwórca dał ziemię człowiekowi w jego posiadanie wraz z rządzącymi na niej prawami natury.

Dziś nauki przyrodnicze doszły do tego stopnia rozwoju w poznaniu praw natury, że pada mur graniczny dzielący energię od materii, możliwe, że jesteśmy na drodze do ustalenia związku, jaki istnieje między duchem a materią. Nauka i technika wprowadzają człowieka w rzeczywisty świat magii z wierzeń średniowiecznych alchemików. Co przed stu laty mogło być uważane za szaleńczą czy obłąkaną fantazję, dziś jest powszechną rzeczywistością. Wydaje się nam dziś nie do pomyślenia życie bez światła elektrycznego, tramwaju, albo dla coraz większej ilości ludzi bez auta czy samolotu. Zdobycze techniki, pomimo nawet nie zawsze sprawiedliwego rozdziału dóbr, stają się coraz bardziej dostępne dla szerokich mas ludzi. Dziś rodzina robotnicza w Stanach Zjednoczonych czy w wielu krajach Europy zachodniej żyje wygodniej i, można nawet powiedzieć, na wyższej stopie życiowej niż przed dwoma wiekami rodziny książęce i możnych ówczesnego świata. Wszak łazienka z wodą bieżącą zimną i ciepłą, telefon, radio, kuchnia gazowa czy elektryczna, bezbolesne wyrywanie zębów albo sztuczna ondulacja nie były nawet marzeniem ówczesnych magnatów.

Rozwój techniki i środków komunikacji przybliża do siebie kontynenty, zbliża poprzez wzajemne poznanie się ludzi i narody. Nauka i technika zarzucają wspólną sieć, wiążącą społeczności i narody, stwarzają jedność i solidarność na skalę światową. Lekarz europejski leczy ze skutkiem Murzynów, polski inżynier konstruuje w Szwajcarii maszyny, które obsługuje Brazylijczyk.

Jedno, co łączy dziś Stany Zjednoczone z Rosją Sowiecką — to technika i tajemnica bomby atomowej. Przeciętny wiek człowieka przez rozwój higieny i medycyny wzrósł w ciągu stulecia z ok. 30 na przeszło 60 lat. Jeszcze przed stu laty ze zdobyczy ówczesnej kultury mogła korzystać tylko garstka uprzywilejowanych, a olbrzymia większość w znoju i trudzie musiała ciężko fizycznie pracować po kilkanaście godzin dziennie, by spać i znów świtem biec do pracy. Dziś poprzez rozwój techniki czas pracy został skrócony do przeciętnej 8 godzin dziennie. Człowiek stworzył maszynę i do jej napędu zaprzągł siły, odciążył niewolnicze siły ludzkie, odciąża siły zwierzęce. Czy więc maszyna nie spełnia roli humanitarnej? Gdzie dziś jeszcze człowiek musi ciężko pracować, tam widać technika nie dosięgła dostatecznie daleko.

Istnieją już taśmy urządzeń produkcyjnych, przy których nie stoi żaden człowiek. Istnieją już fabryki całkowicie zautomatyzowane, gdzie człowiek nie pełni już roli automatu. Wszystko to — co można zmierzyć, czego kształt można określić, to może już dziś sama maszyna regulować. Maszyna czy urządzenie techniczne może utrzymywać stałą temperaturę, stałe ciśnienie, kurs okrętu czy samolotu; ilość, grubość, długość wszelkiego rodzaju fabrykatów, wszystko według nakreślonego programu. Wszystko jest w stanie zrobić, co jest monotonne i wszystko, co się powtarza. Więc cóż pozostaje człowiekowi do roboty? Pozostaje mu to, co się wykonuje jednorazowo, co się nie powtarza.

Nie zostanie stworzona nigdy taka maszyna, która będzie posiadać fantazję czy własne poglądy, nie będzie stworzona nigdy taka maszyna, która będzie pisać wiersze, co będzie zrywać kwiaty, układać je w piękne bukiety i ustawiać w kryształowe wazony. Nie będzie maszyny, która będzie odczuwać dobroć i która mogłaby lubić i kochać, która dojrzałaby nędzę i nieszczęście, znalazła w sobie współczucie i mogła pośpieszyć z pomocą. Nie będzie takiej maszyny, która mogłaby się uśmiechnąć. Wszystko to pozostaje dla człowieka... Z homo faber rodzi się homo sapiens.

Wielki entuzjasta rozwoju techniki profesor Friedrich Dessauer pisze o technice tak: „Bóg dzieła swego stworzenia nie oddał człowiekowi w ostatecznie wykończonej formie. Stwarzanie trwa dalej i Bóg posługuje się człowiekiem, aby według ustalonego planu dzieła tego dokończyć.

„Rzeczywistymi są zwycięstwa nad przestrzenią, czasem, przenoszenie mowy i widoku między częściami świata, pokonywanie chorób. Techniczne zdobycze są wzbogaceniem stworzonego świata, są one tak rzeczywistymi, jak przedmioty natury. Ale są one duchowe, ostatecznie podporządkowane i poświęcone służbie bliźniemu i przez to w swojej roli wywyższone.

Poprzez udział w postępującym naprzód dziele stworzenia idzie jakieś błogosławieństwo na zawody techniczne. Nawet ostatni wyrobnik w służbie techniki może godność swego zawodu odczuć, jeśli pozna i uświadomi sobie, w jakiej misji bierze on współudział."

CIENIE

Czy wszystko, co jest związane z rozwojem techniki jest jasne i radosne? Czy nie ma w tym i cieni? Czy technika jest wyłącznie przedłużeniem Boskiego stwarzania świata, jak pięknie napisał prof. Dessauer? Czy technika nie kryje w sobie jakiegoś demonicznego uwodzicielstwa, gdzie człowiek przestaje być podmiotem, a staje się przedmiotem, gdzie technika człowieka pożera i trawi i czyni go wewnętrznie próżnym? Gdzie tkwi tego przyczyna? Dlaczego rzeczywistość nie wygląda tak, jak ją widzi prof. Dessauer? Można sądzić, że Dessauer przeczytał tylko pierwszy rozdział Biblii — historię stworzenia świata, ale już nie doszedł do następnych, gdzie jest mowa o grzechu.

Żyjemy dziś nie w atmosferze raju tuż po stworzeniu świata, ale po grzechu i upadku człowieka. Jest znamienne, że wszędzie, we wszystkich prawie religijnych odczuciach i mitach istnieje niechęć i obawa przed techniką. Symbolem i bóstwem techniki w mitologii greckiej jest pokraczny Hefajstos. Już w jego poczęciu tkwi plama i skaza. Hefajstosa rodzi Hera z zemsty Zeusowi i bez jego udziału; nieudany poród ukrywa ze wstydu na dno morza. Hefajstos mści się płatając bogom złośliwe figle. W germańskiej mitologii podobną postacią jest Wieland — sparaliżowany kowal. Wieland, którego przytrzymuje u siebie siłą król Nidud, morduje jego synów, gwałci śpiącą jego córkę i ucieka skonstruowaną przez siebie maszyną latającą.

Dlaczego Hefajstos jest pokraczny i kulawy, dlaczego Wieland sparaliżowany? Podobna historia jest z Prometeuszem i Ikarem. Świat religijny przyjmuje technikę z niechęcią i obawą.

Z podobnym nastawieniem spotykamy się w wiekach średnich: w celach klasztornych widzimy mnichów odrywających się myślą i uczuciem od Boga, a zagłębiających się z zapałem w pracach alchemicznych swoich laboratoriów. Taki np. wielki uczony dominikanin Albert Wielki pozostał w tradycji i opowieściach bardziej jako mag i czarnoksiężnik niż jako święty. Istnieje opowieść, że Albert skonstruował robota, który posiadał zdolność otwierania drzwi i witania przybyłych gości. Pewnego razu, gdy Alberta odwiedził św. Tomasz z Akwinu i został przez robota powitany, tak się wzburzył, że chwycił laskę i rozwalił cudowny majstersztyk. To była reakcja świętego na majstersztyk techniki.

Przechodząc od czasów średniowiecznych do czasów nowożytnych, chciałbym na tło rozwoju techniki rzucić obraz stanu moralności człowieka, rozwoju jego umysłowości i kultury. Poziom moralny człowieka wiąże się z religijnością nie w sensie wykonywania pewnych obrzędów i praktyk, ale w sensie wiary i umiłowania ideałów stojących poza przedmiotami i dziedziną bytu biologicznego.

Technika wypędziła religię, w sensie wiary, z duszy ludzi współczesnych. To wydaje się bezsprzecznie. Z rozwoju cywilizacji technicznej zrodził się pozytywizm, marksizm i materializm współczesny.

Religia opiera się na objawieniu, ma charakter imperatywny — nakazuje wierzyć, obiecuje szczęście i doskonałość po śmierci, daje rozwiązanie zagadki bytu i celu życia człowieka.

Technika nie wnika w istotę bytu, wykorzystuje prawa natury, opiera się na eksperymencie, daje wyniki bezpośrednio i namacalnie, daje człowiekowi narzędzie do rozbudzenia chęci władzy i mocy. Poprzez technikę człowiek stara się wyzwolić ze swej niedoskonałości tu na ziemi. Poprzez postęp techniki — do szczęścia ludzkości! To jest ewangelia marksizmu i materializmu. Rozwój techniki staje się religią (w Rosji oficjalną).

(Dokończenie na str. 2)

NASZE KSIĄŻKI
MSZALIK POLSKIEGO DZIECKA
zawierający modlitwy mszalne, przygotowanie do Spowiedzi i Komunii św., Litanię Loretańską, modlitwy poranne, wieczorne i inne.
Mszalik (w futerale) o 24-ch dwubarwnych rycinach, z dwoma wstążeczkami-zakładkami, jest oprawiony w płótno w kolorze niebieskim lub granatowym.
Cena 5/6 + 6 d. za przesyłkę + 6 d. jako datek na pomoc dzieciom polskim w Niemczech — łącznie 6/6.

MICHAŁ SAMBOR

KARTKA Z RAPTULARZA

PRZECIW LITERATURZE

Tyle, co umiem z teologii i Pisma św., nauczyłem się w lasach i na polach. Nie miałem innych nauczycieli, niż buki i dęby... Więcej wiedzy znajdziesz w lasach niźli w książkach. Drzewo i kamienie nauczą cię więcej niż wszystko, co mógłbyś usłyszeć z ust magistra.

(z listów św. Bernarda z Clairvaux)

Pragnienie Twej obecności da się wyrazić tylko łzami, nie słowami.

(Diego de Estella)

Doktorowie paryscy*) wyczytują grube księgi i przewracają wiele stronic. Przyjaciele Boga czytają jedną żywą księgę, w której wszystko jest życiem.

(Johann Tauler)

Porównywanie pracy artystycznej z działalnością duchową jest profanacją tej ostatniej. To tak jak gdybyśmy św. Franciszkowi z Asyżu powiedzieli: „Jakie pan ma piękne wąsy".

(Lew Tołstoj)

Nie bez zgrozy widzę się skazanym na wydrukowanie żywcem.

(Maine de Biran — oddając do druku pierwszy swój rękopis)

Książę Ch'i, Huan czytał książkę w honorowym końcu sali. W drugim końcu kołodziej robił koło. Odłożywszy młot i dłuto kołodziej zawołał w stronę księcia pytając, jaką to książkę czyta.

— Książkę, w której są słowa mędrców — odrzekł książę.

— Czy ci mędrcy jeszcze żyją? — zapytał kołodziej.

— Ach, nie — odparł książę — dawno już pomarli.

— W takim razie — rzekł kołodziej — to, co wasza książęca mość czyta, nie jest niczym innym, jak fusami i odpadkami po ludziach, których już nie ma.

— Jak śmiesz ty, prosty kołodziej, przyganiać książce, którą ja czytam? Jeśli zdołasz uzasadnić, coś powiedział, daruję ci. Jeśli nie — zginiesz marnie.

— Mówiąc jako kołodziej — odparł tamten — patrzę się na to w ten sposób: Kiedy robię koło, a ruch mej ręki jest zbyt wolny, dłuto wrzyna się głęboko, ale nierówno; kiedy jest zbyt szybki, dłuto wrzyna się równo, ale płytko. Takie wzięcie, jakiego trzeba — ani za wolny ruch, ani za prędki — nie wchodzi w rękę, jeśli nie wyjdzie z serca. Tego się nie da słowami wyrazić. W tym jest sztuka, której własnemu synowi nie potrafię wytłumaczyć. Dlatego nie mogę przekazać mu swego rzemiosła i oto mam już siedemdziesiąt lat i ciągle sam robię koła. Moim zdaniem, tak samo musiało być z niegdysiejszymi mędrcami. To, co warte było przekazania, umarło wraz z nimi; resztę wsadzili w książki. Dlatego powiedziałem, że to, co wasza książęca mość czyta, jest fusami i odpadkami po ludziach, których już nie ma.

* * *

Konfucjusz rzekł do Lao Tzu:

— Opracowałem i wydałem Pieśni, Księgę dziejów, Obrzędy, Kanon muzyki, Księgę przemian, Kronikę wiosen i jesieni — razem sześć świętych pism — i chyba wolno mi powiedzieć, że do głębi poznałem zawartą w nich wiedzę. Uzbrojony w nią, obszedłem siedemdziesięciu dwu władców głosząc im Naukę starożytnych królów, wiekopomne dzieła Chou i Shao**); nie było jednak ani jednego władcy, który by zrobił choć najmniejszy użytek z mego nauczania. Wydaje mi się więc, że albo moi słuchacze byli ludźmi, których wyjątkowo ciężko jest przekonać, albo też Nauka starożytnych królów jest niesłychanie trudna do pojęcia.

— Całe szczęście — rzekł Lao Tzu — że nie spotkałeś księcia, który by miał chętkę naprawiać świat. Tych sześć świętych pism, to zatarte ślady starożytnych królów. Nie mówią nam one nic o sile, co kierowała ich krokami. We wszystkich swoich wykładach zajmujesz się rzeczami wartymi nie więcej od śladów nóg w pyle. Buty pozostawiają po sobie te ślady; ale ślady nie są butami.

(Z Księgi Chuang Tzu, według angielskiego przekładu Arthura Waleya. Chińskie imiona własne w transkrypcji angielskiej.)

Wybrał i przełożył
Michał Sambor

---

*) *Paryż był wówczas wielkim ośrodkiem filozofii scholastycznej.*

**) *Synowie założyciela dynastii Chou, XII w. przed Chrystusem* (według tradycji).

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Prezydent Stanów Zjednoczonych w sprawie odrodzenia religijnego. Amerykański Legion (American Legion) zorganizował specjalną akcję w sprawie odrodzenia życia religijnego w Stanach Zjednoczonych pod hasłem: „Back to God". W związku z tym Prezydent Eisenhower wygłosił przemówienie radiowe.

Prezydent mówił: „Jako dawny żołnierz czuję radość, że nasi byli wojskowi stali się promotorami ruchu mającego na celu wzmocnić w naszym życiu codziennym poważanie Boga. Na polach bitew doświadczyli oni wielkiej prawdy, a mianowicie, że w rowach strzeleckich nie ma ateuszów. Wiedzą oni, że w momencie próby i niebezpieczeństwa instynktownie zwracamy się do Boga, by uprosić u Niego nową odwagę i pokój ducha. Cała historia Ameryki świadczy o tej prawdzie. Na wierze w Boga i na wierze w nas samych, jako dzieci Bożych, przodkowie nasi oparli i utworzyli tę republikę.

Na dowód tego wskazał Prezydent na kilka wydarzeń z dziejów Stanów Zjednoczonych, wśród nich, jak to Waszyngton klęcząc w Valley Forge prosił Boga o kierowanie nim, a Abraham Lincoln na polu bitwy pod Gettysburg i w ciszy wielu nocy w czasie wojny uznał, że jedynie pod kierownictwem Boga Stany Zjednoczone mogły odzyskać na nową swą niepodległość. „W ciągu trzech minionych wieków — mówił dalej prezydent — od podróży pielgrzymów na Mayflower do epizodu kapelanów na Dorchester *) wolność, odwaga, siła i postęp Ameryki były zawsze oparte na wierze. Dzisiaj, jak wówczas, jest konieczne aktami pozytywnymi uznać na nowo, że wiara przedstawia nasze najbardziej pewne źródło energii, naszą największą pomoc. Ten ruch „Back to God" stanowi akt pozytywny. Biorąc w nim udział, spodziewam się, że ocenimy ten pomysł we właściwy sposób. Jakiekolwiek byłoby wyznanie, do którego przynależymy, jakiekolwiek byłyby nasze osobiste wierzenia, nasza wspólna wiara w Boga stanowi węzeł wspólny dla wszystkich. Zjednoczeni w tej naszej wierze fundamentalnej, tworzymy jedną całość. Wspólnie składamy dzięki Potędze, która nas stworzyła i utrzymuje jako naród. Miliony nas zanosi modlitwy, śpiewa hymny; niezależnie od słów, jakie zawierają, duch ich jest jeden: Pokładamy naszą ufność w Bogu."

*) kapelani, o których mówi prezydent, należeli do czterech różnych wyznań, a poświęcili swe życie przez oddanie swych miejsc na szalupach ratowniczych innym pasażerom. Na pamiątkę tego heroicznego czynu sprzed 10 lat Stany Zjednoczone wydały znaczek pocztowy.

Czy tylko kursy dla pilotażu? Instytut w Mediolanie „La Casa" zorganizował po raz drugi kursy korespondencyjne o małżeństwie. Inicjatywa wychodzi z założenia, że jeżeli potrzeba szkół dla prowadzenia samochodu czy pilotowania samolotu, to tym bardziej potrzeba przygotowywać odpowiednio tych, którzy przystępują do zadania o wiele trudniejszego i dłuższego: założenia rodziny takiej, jaką być powinna.

SKAUCI I KOMUNIZM

Ożywioną dyskusję w prasie brytyjskiej wywołała sprawa „czerwonego skauta" Paula Garlanda, liczącego dziś lat 19, który jest równocześnie sekretarzem okręgowym Ligi Młodych Komunistów na Anglię zachodnią.

Odezwały się głosy protestujące w imię liberalizmu przeciw decyzji Związku Skautów (Boy Scout Association), domagającej się od Garlanda ustąpienia z ruchu. Zdaniem natomiast „Observera" nie można bez popadnięcia w konflikt z sumieniem być równocześnie harcerzem i „młodym komunistą". Każdy skaut składa przysięgę, że będzie wypełniał swe obowiązki wobec Boga i Królowej. Ponieważ — wywodzi „Observer" — oficjalna doktryna komunistyczna ma charakter antyreligijny, członek Ligi Młodych Komunistów nie może szczerze podjąć się wypełniania pierwszego z tych obowiązków.

SPOŁECZNOŚĆ MAHOMETAŃSKA W ANGLII

Mahometanie w W. Brytanii posiadają własny organ, wydawany w Londynie pod nazwą „Muslim Times" staraniem organizacji filantropijnej „Muslim Welfare Society", założonej dwa lata temu. Redaktorem pisma jest p. Said Chipperfield, Anglik, który niedawno przeszedł na islam.

Oblicza on ilość mahometan w W. Brytanii na 250.000. „Powiedziano — pisze „Muslim Times" — że islam znów podniesie się na Zachodzie. W. Brytania jest jedynym krajem zachodnim, gdzie to jest możliwe".

Ostatni numer „Muslim Times" zawiera tekst listów, które — jak zaleca pismo — powinny być wysyłane przez mahometańskich rodziców do kierowników szkół z żądaniem, by zgodnie z „Education Act" nauczanie religijne dzieci tych rodziców odbywało się wyłącznie w ramach islamu.

Czas odnowić prenumeratę

TECHNIKA — DAR BOŻY CZY DZIEŁO SZATANA?

(Dokończenie ze str. 1)

Postęp... Ludzkość dzielnie maszeruje... Ale dokąd? Jak długo? I co z tego?

Jest jakaś śmieszność w tym marszu w nieskończoność — do celu, którego się nie bierze poważnie, którego się nie pragnie przedstawić w wyobraźni, którego się nie śmie wyobrazić. Bo celem tym jest koniec. Każdy twórczy człowiek obawia się próżni, która następuje z zakończeniem dzieła. Do rozwoju należy zakończenie, każdy rozwój ma początek każde zakończenie jest końcem. Błąd i tragedia kroczenia po tej drodze tkwi w tym, że natura jest silniejsza. Człowiek się od natury wyzwolić nie potrafi. Będzie się rodził takim, a nie innym, tak a nie w inny sposób i losem jego, który go czeka — a to pewnik, że nie uda się go wyeliminować — jest śmierć. Pozorny pan świata staje się dziś niewolnikiem swego dzieła — maszyny.

Jaką stworzyła cywilizacja techniczna moralność? Kogo wysunęła na czoło życia społecznego? Spryciarzy, geszefciarzy, ludzi bez skrupułów, którym udało się zdobyć w posiadanie środki techniczne, względnie potencjalną możliwość ich nabycia w formie majątku i pieniądza. Oni mają głos, oni imponują, a nie ludzie uczciwi i skromni mędrcy i uczeni.

Daje się już w społeczeństwach zauważyć pewne zmęczenie techniką, daje się odczuć tęsknota za prostszą, bardziej naturalną formą życia. Zaczynają się ludzie usuwać z wielkich miast, z zimnej atmosfery technicznej organizacji. Silne i twórcze talenty odwracają się od problemów praktycznych do czysto spekulatywnych. Zaczyna się nastrój Rzymu za czasów ostatnich cesarzy. Maszyną cywilizacji technicznej zaczynają kierować talenty drugiej klasy. Armia bez oficerów jest zagubionym tłumem. Stos cegieł i profilów stalowych nie tworzy budynku.

Jedną z zasadniczych cech dzisiejszej techniki, produkcji i ekonomii przemysłowej jest zjawisko standartyzacji. Taniej jest produkować przedmioty o tych samych kształtach, taniej jest obsługiwać i taniej i łatwiej jest wymieniać części przy reperacji. Coraz więcej widzimy jednakowych aut, mebli, butów, płaszczy. Buduje się jednakowe domy. Miasta świata upodabniają się do siebie. W teatrach i kinach grane są te same sztuki i filmy, wyrównuje się poziomy kultury, tworzy się jakaś kultura światowa. Następuje standartyzacja życia. Ludzie zaczynają żyć nie tylko tą samą strawą duchową, ale ubierają się też podobnie. Najbardziej widoczne to jest w Rosji sowieckiej, gdzie kobiety w całym okręgu noszą sukienki z takiego samego barchanu, mężczyźni jednakowe kaftany i watowane spodnie. Na Zachodzie widzi się w różnych miastach ten sam typ tuzinkowych blondynek czy na model jednakowych manekinów zrobionych brunetek. Czym to grozi?

Istnieje w fizyce, a ściślej mówiąc w termodynamice, jedno prawo entropii, przy pomocy którego można naukowo udowodnić koniec życia. Poglądowo dało by się to wytłumaczyć tak: woda płynie wtedy, gdy istnieją dwa poziomy wyższy i niższy, tak samo płynie prąd elektryczny od potencjału wyższego do niższego. Woda płynąca w rzece górskiej posiada żywotność, woda w jeziorze jest czymś martwym. Standartyzacja i wyrównanie poziomów życia prowadzi do stanu wody w jeziorze, do zaniku rozwoju kulturalnego. Talentów wielkich spotyka się coraz mniej, konsumuje się zdobycze kulturalne minionych wieków i lat. Obserwuje się nie tylko zanik twórczości, ale zanik wrażliwości i zblazowanie.

Muzyka, żeby podziałać na wrażliwość, operuje dysonansem, rzeźba i malarstwo dysproporcją kształtów. Czy to jest okres przejściowy, czy zjawi się znów renesans, czy to jest objaw zaniku?

A jaki jest wpływ techniki na charakter człowieka? Technika w miarę rozwoju stwarza coraz większy luksus. Luksus czyni, że technika staje się uwodzicielską. Ludzie dla zdobycia luksusu wyzbywają się skrupułów, co popycha ludzi do wyzysku, zaniku uczciwości, egoizmu.

Przytoczę kilka zdań z książki Ernst Jüngera „Der Arbeiter" jako przeciwieństwo tego, co napisał prof. Dessauer: „Tam, gdzie pojawiają się symbole techniki, tam znika w tej przestrzeni świat ducha. Większy entuzjazm i skupienie obserwujemy u ludzi na wyścigach motocyklowych czy w kinie niż w kościele."

Technika stała się dla dzisiejszej ludzkości namiastką zastępującą religię, „jest niszczycielką każdej wiary, bezsprzecznie najbardziej antychrześcijańską siłą, jaka się do tej pory zjawiła". (Jünger)

Ale czy ta dziś bezsprzecznie uwodzicielska siła — demonia — tkwi w technice, w aparacie technicznym, w produktach techniki, czy też w sercach ludzi?

WNIOSKI

Człowiek zoologicznie jest zwierzęciem należącym do grupy naczelnych. Ażeby żyć, potrzebuje odpowiednią ilość kalorii — musi jeść, musi pić, ze względu na brak owłosienia ubrać się i posiadać miejsce chroniące go od wpływów atmosferycznych, mieszkanie.

Ażeby to zdobyć, nie może zapuścić korzeni w ziemię, ani przyswoić pokarmu z powietrza jak czynią to rośliny, ani nie posiada pazurów i kłów lwa i tygrysa. Musi rzeczy potrzebne zdobyć przez użycie narzędzi, do stworzenia których używa mózgu. To jest technika.

Człowieka z techniką łączy związek organiczny. Potępienie techniki jest potępieniem natury człowieka. Ażeby przeszło dwa i pół miliarda ludzi mogło się dziś utrzymać przy życiu, potrzeba techniki i to wysoko rozwiniętej. Ludzie rzucający lekkomyślnie gromy na samą technikę wywodzą się z grupy wyznawców źle zrozumiałego i pojętego wykształcenia humanistycznego.

Jesteśmy dziś wszyscy równocześnie członkami technicznie wysoko rozwiniętej cywilizacji i kultury i organicznie z nią związani. Jeśli ktoś proponuje swoje własne zamiłowanie i zainteresowanie jako część z całości wyodrębnić, tylko to uznawać i pielęgnować, a pozostałe jako coś niższego starać się z życia wyprzeć i potępić, zatruwa tym nie tylko całe otoczenie, w którym żyje, ale eliminuje się ze społeczeństwa i rezygnuje z pełnej harmonijnej całości swego człowieczeństwa. Mimo przyzwyczajeń i oporów musimy w rozwoju techniki kroczyć naprzód. Ludzkość nie pojdzie za Don Kichotem, nie wróci do romantycznych wiatraków, ale będzie budować i ulepszać silniki odrzutowe. Taka jest konieczność, taki jest los człowieka.

Ale ażeby życie istniało i mogło się rozwijać, potrzeba nie tylko pewnych określonych elementów, ale potrzebna jest także pewna proporcja tych elementów, pewien umiar. Życie by znikło, gdyby padał ciągle deszcz, życie by też znikło, gdyby stale świeciło słońce. To samo jest i z techniką.

Ludzkość dzisiejsza sprawia wrażenie, że umiar ten straciła. Ludzie poza techniką starają się dziś nic więcej nie widzieć. Środek do życia staje się celem życia.

Każda konstrukcja ma określony cel i określony sposób działania, to samo jest z człowiekiem. Człowiek i społeczeństwo ludzkie będą żyć i czuć się szczęśliwymi, jeśli rozpoznają i będą starać się urzeczywistnić myśl swego Konstruktora, która każdemu została dana. Jest nią odszukanie celu i sposobu działania, włączenie się w istniejący porządek, uznanie i podporządkowanie się Stwórcy. To jest rola człowieka jako istoty czującej, myślącej i działającej. Tylko wtedy, jeśli staniemy w tym porządku i będziemy żyć według woli Bożej, będziemy ludźmi.

Jeśli będziemy się czuć ostatnią instancją nad środkami technicznymi i siłą, którą one dają nam w ręce, przestaniemy być ludźmi. To jest demonia techniki, ale tkwi ona nie w niej samej, lecz w sercu człowieka.

Czołowy poeta komunistyczny Majakowski napisał hymn na cześć diabła i zaczął tymi słowami: „Przełamane są wszystkie środki — świat nie zna już więcej żadnego środka". Świat bez środka, bez rozenia, to jest świat bez Boga — i dlatego bez osobowości. Tylko osobowość jest obliczem Boga w człowieku. Produkty rozpadu osobowości, pojedyncze cechy czy dziedziny działania człowieka starają się zdetronizować wszechmoc absolutną, stąd powstaje demonia elementów. Sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się w tej chwili, jest groźna. Stoimy nad brzegiem przepaści. Ludzkość posiadła takie środki, którymi dziś może zniszczyć w ciągu kilku dni cały dorobek kultury, wszystkie większe miasta świata z muzeami, bibliotekami, uniwersytetami, fabrykami. A za kilka lat w rękach ludzi będzie istniała moc zniszczenia życia na ziemi. To nie jest fantazja ani przepowiednia, ale rzeczywiste stwierdzenie faktu. Dziś ludzkość musi się zdecydować, czy uznać Boga i pójść po drodze do szczęścia, czy Go odrzucić i wybrać drogę zagłady.

Ludkość to nie jest kolektyw anonimowy, ale t y i j a.

A. Gorajek

KONFERENCJA W SPRAWIE OPIEKI SPOŁECZNEJ

W dniach 13 i 14 lutego odbyła się w Sheffield konferencja na temat „Katolicy a opieka społeczna", zorganizowana przez Newman Association i Union of Catholic Students. Był to dość liczny zjazd, ilość obecnych przekroczyła 100 osób z wszystkich stron Anglii, przy czym młodzież stanowiła przeszło połowę. Na całość jej złożyły się referaty Miss Una Cormack „Państwowa opieka społeczna", John Ciano „Dobrowolna opieka społeczna" i o. M. Keane (jezuity) „Katolickie zasady opieki społecznej", a ponadto dyskusja. Była ona nieraz bardzo ostra; zwłaszcza młodzież nie krępowała się bynajmniej w wypowiadaniu swych poglądów i w stanowczym przeciwstawianiu się opiniom starszych.

Osią dyskusji było znalezienie właściwej granicy pomiędzy opieką nad mniej szczęśliwymi członkami społeczeństwa i sprawiedliwością społeczną z jednej strony, a obowiązkiem i prawem każdej jednostki do wykuwania losu swego i swej rodziny własnym wysiłkiem. Mówcy wskazywali na to, że choć opieka społeczna jest realizacją postulatów, wysuniętych jeszcze przez papieża Leona XIII w encyklice „Rerum Novarum", to jednak przesadny nacisk na rolę państwa w nowoczesnym „welfare state" grozi poważnymi niebezpieczeństwami. Jeśli bowiem człowiek zda cały swój los w ręce państwa, to łacno może za miskę soczewicy złudnego bezpieczeństwa materialnego sprzedać swój skarb najcenniejszy, wolność sumienia, chętnie godząc się na to, że państwo nie tylko go żywi, uczy i leczy, ale również dyktuje mu, w co ma wierzyć i jak ma myśleć. I tu otwierają się na oścież wrota, wiodące ku totalizmowi.

Prelegenci i poszczególni mówcy podkreślali, że opieka państwa w żadnym wypadku nie zwalnia katolików od obowiązku wychowywania swych dzieci i dbania o ich dobrotyt tak materialny, jak i moralny i że obowiązkiem ich jest pilnować, aby nauczanie państwowe ich dzieci nie stało w sprzeczności z naukami Kościoła. Opieka państwa nie może również zwolnić od obowiązku pomocy bliźnim, w tych wypadkach zwłaszcza, gdy pomoc moralna jest ważniejsza od materialnej. Nikt nie będzie mógł, gdy Chrystus mu powie: „Łaknąłem, a nie daliście Mi jeść, pragnąłem, a nie daliście Mi pić", tłumaczyć się: „Panie, przecież państwo to za mnie czynić miało".

Toteż rola stowarzyszeń, mających na celu pomoc bliźnim, choćby pod postacią pomocy wzajemnej, bynajmniej nie uległa pomniejszeniu i w „welfare state". Ponadto katolicy muszą jak najliczniej wejść do wszystkich komórek opieki społecznej, aby natchnąć je duchem prawdziwie katolickim, duchem traktowania każdego człowieka jako bliźniego, a nie jedynie jako numer kartoteki. Na ten osobisty stosunek do podopiecznego kładziono w referatach i w dyskusji silny nacisk.

Ciekawe były uwagi ojca Keane, że słusznym rozwiązaniem społecznym jest nie tyle „welfare state", które pozbawia człowieka poczucia odpowiedzialności za własny los, ile zasada „słusznej zapłaty", a więc zapłaty takiej, która umożliwia pracobiorcy utrzymanie, leczenie i wychowanie własnej rodziny, tak aby opieka państwa ograniczała się jedynie do tych, którzy — z tych czy innych względów — obowiązku swego spełnić nie mogą.

Może najmocniejszym punktem dyskusji było przemówienie młodej studentki, która opowiadała o swym koledze, komuniście. Kolega ten, po skończeniu chemii, zamierza iść nie do fabryki, choć tam zarabiałby więcej, lecz do szkolnictwa, gdyż w ten sposób lepiej będzie mógł służyć sprawie komunizmu. „Dlaczego my, katolicy — pytała z ogniem dziewczyna — nie wykazujemy takiego samego natężenia apostolstwa?" Sala zareagowała gorącymi oklaskami, a mnie zrobiło się trochę głupio. Jak bardzo chciałbym usłyszeć takie słowa z ust polskiej młodzieży, tej zwłaszcza, która studiuje za pieniądze, niby angielskie, a będące w istocie rzeczy jedynie spłatą długu moralnego, zaciągniętego wobec tak obficie przelanej krwi polskiej we wszelakich Cassinach i Falaise.

Nasunęła mi się i druga refleksja. Problem właściwej granicy pomiędzy wolnością jednostki a opiekuńczą rolą państwa jest jednym z najważniejszych problemów chwili obecnej. Stanie on i przed nami w owej radosnej chwili, gdy o losach Polski decydować będą mogli Polacy sami. Przemyśliwanie tych problemów, korzystanie z cudzych doświadczeń, powinnoby więc być obowiązkiem każdego, kto chce mieć wpływ na przyszłość Polski, w pierwszym więc rzędzie polskich polityków. Niestety jednak żadnego z nich na owej konferencji nie widziałem.

T. F.

NASZE ARCHIWUM

PAMIĘTNA AUDIENCJA W CASTEL GANDOLFO

Piękne zimowe słońce podnosi się nad Rzymem. Dochodzi godzina 9 rano. Po Via Appia Nuova długi sznur samochodów dąży w stronę Castelli Romani. Nie prześcigają się, jadą wyraźnie w kolumnie. Oznaki C.D., wszystkie możliwe flagi świata. Irlandia, Indonezja, Francja, Hiszpania, W. Brytania, Urugwaj, Egipt, Argentyna, Austria, Japonia. Biało-czerwony proporczyk polski...

Nagle dogania kolumnę i mija szybko samochód oznaczony literami SCV: to jeden z prosekretarzy stanu, jeden z gospodarzy, śpieszy, by być na miejscu przed korpusem dyplomatycznym.

Spieszymy jednak i my, bo audiencja wyznaczona jest na 9.30. Wiemy dobrze, że punktualnie o tej godzinie Ojciec św. wejdzie na salę, raczej minutę wcześniej, jak później.

Oto zakręt i nowa, piękna bocznica, prowadząca do Castelgandolfo. W bramie pałacu zatrzymuje czołowy samochód oficer żandarmerii papieskiej: wysiadamy i przechodzimy przez tak dobrze znany dziedziniec pieszo, by za chwilę znaleźć się w apartamentach papieskich, na pierwszym piętrze.

Jest wyraźnie nastrój wielkiego dnia. Mimo że zwykle w Castelgandolfo, rezydencji letniej Papieża, ceremoniał jest uproszczony, tym razem widzimy pełny skład gwardii i dworu. Ogromni żandarmi w niedźwiedzich bermycach salutują w pierwszej sali. Guardia palatina prezentuje broń w następnej, oddział gwardii szlacheckiej wyciągnięty w trzeciej. Wchodzimy do galerii przed salą tronową — jest jeszcze 10 minut czasu.

Galeria wypełnia się szybko. Wszystkie możliwe typy mundurów dyplomatycznych, fraki, fezy, ordery. Jest 17 ambasadorów, 11 ministrów, 7 chargés d'affaires. 35 państw zdecydowało podpisać tekst adresu, który wicedziekan korpusu, ambasador Irlandii Walshe, ma przedłożyć Ojcu Świętemu. Protest przeciw uwięzieniu Kardynała Prymasa Polski wychodzi zarówno od katolików, jak protestantów, mahometan, jak buddystów.

Na salę wchodzi maestro di casa papieski, msgr Callori di Vignale i przeprowadza nas do sali tronowej. W głębi po obu stronach tronu papieskiego stoją już dygnitarze dworu i sekretariatu stanu. Są w pełnym składzie: obaj prosekretarze stanu, monsignorowie Tardini i Montini, ich pomocnicy msgr Samoré, Dell'Acqua i Grano. Sześciu oficerów gwardii szlacheckiej otacza tron. Poznajemy ten fotel: siedział na nim już Innocenty X Pamphili w chwili, gdy Velasquez malował portret, wiszący dziś w galerii Doriów w Rzymie.

Naprzeciw tronu dwa rzędy foteli z przejściem w środku. Maestro di casa wskazuje miejsca szefom misji. Pierwszy fotel zarezerwowany dla dziekana, ambasadora R.P., potem wicedziekan i inni ambasadorowie według starszeństwa, dalej ministrowie i chargés d'affaires oraz sztabu.

Ambasador Irlandii, J. Walshe odczytuje adres. Za nim dziekan Korpusu Dypl. amb. R. P. Papée.

Jest godzina 9.30. Otwierają się boczne drzwi sali tronowej i z kaplicy, gdzie fresk Rosena przypomina bohaterską śmierć ks. Skorupki, wchodzi Ojciec św. poprzedzony orszakiem. Gwardziści prezentują broń, sala przyklęka. Pius XII zasiada na tronie Innocentego X. Występuje wicedziekan, ambasador Irlandii, J. P. Walshe i odczytuje uzgodniony z kolegami adres. Padają słowa mocne, bezkompromisowe, rezultat długich dyskusji i mężnej obrony. Zasadnicze prawa człowieka: wolność wyznawania Boga i wolność sumienia zostały naruszone przez bezbożny reżym, który rozsiadł się w stolicy Polski. Przeciw temu protestują przedstawiciele 35 państw, akredytowanych przy Stolicy Apostolskiej.

Skończył ambasador Irlandii i cofnął się na swoje miejsce. Ojciec św. odczytuje swoją odpowiedź. W miarę jak czyta, coraz większe wzruszenie ogarnia obecnych. Słowa Papieża są proste, ale oskarżenie tym cięższe. Jego mowa jest jak gdyby filozoficznym skrótem dziejów narodu polskiego. Przypomina jego zasługi dla chrześcijaństwa, apeluje do świata, by o nich pamiętał. „Doświadczenie wieków wykazuje, że prawdziwe przekonania religijne i miłość ojczyzny stanowią najgłębszą treść duszy ludzkiej." U Polaków idą one w parze z przywiązaniem do Głowy prawdziwego Kościoła: dowody tego przywiązania złożyli, zgodnie z tradycją narodu, żołnierze polscy w 1944 roku: przyniosł je Ojcu św. Prymas Polski, niezłomny kardynał, arcybiskup gnieźnieński i warszawski w czasie swojej jedynej wizyty „ad limina".

Papież kończy mówiąc o potędze działania prawdy i sprawiedliwości i udziela obecnym Błogosławieństwa apostolskiego.

Część oficjalna audiencji jest zakończona. Ojciec św. schodzi ze stopni tronu i zbliża się do ambasadora R. P. Padają raz jeszcze słowa: „nasza droga, wierna Polska". Ambasador Papée wzruszony przyklęka, dziękuje, mówi coś Ojcu św. Papież uśmiecha się, coś odpowiada, robi nad klęczącym znak Krzyża św. Serdecznie wita wicedziekana Walshe'a, dziękuje mu za przemówienie i włożoną w nie pracę, daje następnie do pocałowania rękę — lewą, bo prawa jeszcze nie przyszła do siebie — ambasadorowi Francji, hr.d'Ormesson, który tak dobrze zasłużył się koło dzisiejszej audiencji. Inni ambasadorowie i posłowie cisną się do Ojca św; robi się nieoficjalny cercle, w czasie którego Pius XII wypytuje o ludzi i sprawy, zadziwiając pamięcią i ujmując prostotą i dobrocią.

Dochodzi godzina 10. Ojciec św. opuszcza salę tronową. Cała ceremonia trwała pół godziny.

Teraz dopiero krystalizują się wrażenia, rozładowuje się wzruszenie obecnych. Wielu kolegów podchodzi do ambasadora R. P.: padają słowa solidarności, życzenia dla narodu polskiego. Ambasador Francji ściska i całuje swego polskiego kolegę.

Wszyscy zdają sobie sprawę z doniosłości chwili: sprawa Kardynała Wyszyńskiego została przeniesiona z płaszczyzny protestu religijnego społeczeństw na płaszczyznę oficjalną, równocześnie międzynarodową i państwową.

* * *

Bo, jak powiedział pewien zasłużony przedstawiciel małego Watykanu: „Trudno mówić co innego w Castel Gandolfo, a co innego na tym Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych, które obraduje w New Yorku".

K. P.

BIBLIOTEKA POLSKA
KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W.2
Do dnia 31 marca b.r. przyjmujemy przedpłatę na książkę
Józefa Kisielewskiego p. t.
POWRÓT
Jest to powieść autora głośnej książki p. t. „Ziemia gromadzi prochy", osnuta na tle życia w Wielkopolsce, ukazująca w sposób plastyczny głębokie przeżycia wewnętrzne człowieka, w obliczu konfliktu między obowiązkiem sumienia a szczęściem osobistym.
Cena w przedpłacie 8/6 + 6d za przesyłkę.
Po ukazaniu się książka kosztować będzie 15/-.

NAKŁADEM KAT. OŚRODKA WYD. „VERITAS" ukazała się w druku ENCYKLIKA NA ROK MARYJNY
FULGENS CORONA
Cena zeszytu 2/3 z przesyłką

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

MARZEC 1954

GLOSSATOR

PROBLEM WŁADZY W ROSJI SOWIECKIEJ I W POLSCE

DWA SYSTEMY

Demokracje parlamentarne przyjmują zazwyczaj w organizacji swej władzy wykonawczej system rządów kolegialnych. System ten oznacza, że premier (Prezes Rady Ministrów, Pierwszy Minister) nie jest szefem rządu, lecz tylko przewodniczącym kolegium rządowego (primus inter pares). Nie on wyłącznie, lecz całe kolegium (Rada Ministrów, gabinet) rozstrzyga o polityce rządu; w razie różnic obowiązuje zasada większości. Rząd i każdy z ministrów z osobna podlegają kontroli parlamentu i odpowiadają przed nim za swoją politykę.

Wiele w tym systemie zależy od osoby i autorytetu premiera. Premier o wybitnej indywidualności potrafi narzucać swą wolę Radzie Ministrów i decyzje polityczne rządu, będąc formalnie decyzjami kolegium, są wówczas w dużej mierze decyzjami jego przewodniczącego. Przykładów dostarcza historia gabinetów Clemenceau i Poincarego we Francji lub pozycja Churchilla w gabinecie brytyjskim. Jeżeli konstytucja sankcjonuje tę przewagę premiera nad ministrami i jego wyłącznie czyni odpowiedzialnym przed parlamentem za politykę rządu, mamy do czynienia z systemem kanclerskim. System ten w czystej formie należy do przeszłości; istniał on w konstytucji Rzeszy Niemieckiej z 1871 r., a jego pozostałością jest zachowanie dla kierownika rządu Niemiec tytułu kanclerza.*)

Organizacja rządu Stanów Zjednoczonych przypomina system kanclerski. Prezydent Stanów jest szefem rządu, a ministrowie (sekretarze stanu) wykonawcami jego polityki. Jego wola, a nie wola kolegium rządowego rozstrzyga w ostatniej instancji. Odpowiedzialność Prezydenta przed parlamentem (Kongresem) nie istnieje; Kongres nie może obalić Prezydenta w czasie jego czteroletniej kadencji, nie mniej jednak wywiera wpływ niezaprzeczony na rządy. Może on przez odmowę uchwalenia aktów ustawodawczych, żądanych przez Prezydenta, uniemożliwić mu rządzenie. Kongres sprawuje zatem kontrolę pośrednią nad działalnością rządu, a miarą skuteczności tej kontroli jest choćby roczny okres rządów Prezydenta Eisenhowera.

Może się zdarzyć, zarówno w ustroju parlamentarnym jak i amerykańskim ustroju prezydenckim, że minister nie solidaryzuje się z polityką większości swych kolegów w rządzie lub decyzjami szefa rządu. Ma on wówczas przed sobą jedną drogę: podanie się do dymisji. Ustąpienie rozwiązuje mu ręce i pozwala walczyć o zwycięstwo swych poglądów na ławach parlamentu lub poza parlamentem przy użyciu środków, jakie mu daje współczesna technika informowania opinii publicznej. Może on, będąc w opozycji do rządu, jednać zwolenników dla siebie i swego stronnictwa, aż wreszcie, przy pomyślnym dla siebie rozwoju wydarzeń, będzie mógł wejść do nowego rządu lub nawet stanąć na jego czele. Dymisja ministra nie zawsze jest końcem jego kariery politycznej, często bywa odskocznią do dalszej kariery.

Demokracja ma wiele wad, lecz również tę zasadniczą zaletę, że pozwala na rozwiązanie konfliktów między rządzącymi w sposób legalny, bez wstrząsów i zamachów stanu. Stwarza ona dwa konieczne po temu warunki: wolność słowa i prasy oraz alternatywę polityczną w postaci opozycji parlamentarnej. Opozycja odgrywa w tym systemie rolę rozstrzygającą: ona przede wszystkim jest organem kontroli rządu, gotowa w każdej chwili do objęcia władzy.

SOWIECKA DOKTRYNA RZĄDZENIA

Inaczej w ustroju sowieckim. Konstytucja ZSSR wprowadziła wprawdzie kolegialny system rządów, lecz za życia Stalina obowiązywał faktycznie swoisty ustrój kanclerski. Wola zmarłego satrapy decydowała o polityce Związku, ministrowie byli tylko wykonawcami tej woli. Istotą wszakże ustroju był brak instytucji kontrolującej rządy. Instytucja ta istniała wprawdzie na papierze w postaci Rady Najwyższej Związku, lecz jej zadaniem rzeczywistym nie była kontrola, tylko aprobata. Odpowiedzialność polityczna rządu, przewidziana w konstytucji, była w istocie fikcją. Nie było wypadku obalenia rządu lub ministra przez Radę Najwyższą i wypadek taki byłby równie nieprawdopodobny, jak zjawienie się na ziemi ludzi z Marsa. Przyczyna jest prosta. W parlamencie sowieckim nie ma opozycji i, ex hypothesi, być jej nie może. Różnorodność stronnictw w państwach burżuazyjnych jest, jak uczy doktryna stalinizmu, wynikiem antagonizmów między przedstawicielami różnych form kapitału, kłócącymi się o jak największy udział w wyzysku klasy robotniczej. W państwie sowieckim nie ma walki klas i antagonistycznych sprzeczności interesów, nie ma więc społeczno-gospodarczego podłoża do istnienia różnych partii; wystarcza jedna — partia „klasy robotniczej", będąca jedyną prawdziwą reprezentantką interesów sojuszu robotniczo-chłopskiego. W obrębie zorganizowanej centralistycznie i związanej surową dyscypliną monopartii, w której nawet frakcje nie są dopuszczalne, jawna opozycja powstać nie może.

Konflikty i sprzeczności interesów istnieją oczywiście w społeczeństwie sowieckim i są niewątpliwie ostrzejsze niż w społeczeństwach zachodnich; miarą ich natężenia może być stopień przymusu państwowego, niezbędnego do utrzymania tego społeczeństwa w ryzach. Lecz apodyktyczne założenia doktryny są, w braku normalnych wyborów, niesprawdzalne, a co za tym idzie, niewzruszalne.

Surogatem kontroli parlamentarnej mogłaby być kontrola rządu przez władze partii. Kontrola ta istnieje i rozporządza surowymi sankcjami w postaci więzień, obozów pracy i plutonów egzekucyjnych, lecz ludzie stojący na szczycie hierarchii partyjnej są od niej wolni. Najwyższe władze partii — kongres i Komitet Centralny są partyjnymi odpowiednikami sowieckiego parlamentu; zadaniem ich jest witanie członków rządu owacyjnymi oklaskami i jednomyślna akceptacja projektów rządowych. Zaczątki kontroli i opozycji istniały na szczytach partyjnych w zaraniu rewolucji; Stalin potrafił je gruntownie unicestwić.

Kanclerz, nie mający nad sobą czynnika kontroli, staje się dyktatorem. Absolutyzm jego władzy podnosi do drugiej potęgi olbrzymi aparat totalnego państwa. Warunkiem sprawnego działania mechanizmu państwowego jest wówczas uznanie charyzmatycznych właściwości dyktatora przez jego otoczenie i krzewienie kultu jego osoby przy pomocy wszelkich dostępnych środków propagandy. Stalin zdobył swą charyzmę wysiłkiem lat, brodząc we krwi milionów ludzi.

NOWOCZEŚNI BORGIOWIE

Lecz Stalin umarł, a żaden z jego następców nie czuł się na siłach do zajęcia opróżnionego przezeń miejsca na Kremlu. Władzy dyktatorskiej się nie dziedziczy, ale się ją zdobywa. Proklamowano więc, po krótkim wahaniu, rządy kolegialne. Kolegium rządowe odziedziczyło wszakże po Stalinie dawne instytucje państwowe i partyjne, przyuczone do obowiązku entuzjazmu i posłuszeństwa. I tu powstaje szereg interesujących kwestii. Malenkow i tow. nie mają nad sobą władzy, która by mogła rozstrzygnąć ich spory, muszą więc szukać rozstrzygnięć w obrębie swego kolegium. W składzie tego kolegium nie widać osoby, która by siłą swego autorytetu mogła narzucać swą wolę pozostałym; legitymacje członków kolegium do władzy mniej więcej się równoważą. Obowiązuje zatem zasada większości. Co się jednak dzieje, gdy spornych poglądów jest nie dwa, lecz trzy lub cztery, a dla żadnego z nich nie ma większości? Co się stanie, gdy jeden lub więcej członków kolegium nie solidaryzują się z decyzją większości, uznając ją za szkodliwą lub zgoła katastrofalną? Mogą oni prawdopodobnie ustąpić z rządu, lecz krok taki równałby się śmierci politycznej. Nie mają oni żadnej możliwości walki o swe poglądy przed forum parlamentu lub partii, gdyż każda próba w tym kierunku miałyby koniec żałosny. Nikną po prostu z horyzontu politycznego i nazwiska ich giną w niepamięci.

Niewiele mamy wiadomości o stosunkach na Kremlu, co zmusza do rozumowania hipotetycznego i jest nie raz powodem zbyt pochopnych generalizacji. Istnieją jednak fakty, związane z każdym systemem rządów i nieodłączne od każdej techniki rządzenia. Takim podstawowym faktem jest wyrastanie przed rządzącymi problemów, konieczność konfrontacji ich z rzeczywistością polityczną i szukanie rozstrzygnięć. Oceny i decyzje mogą być różne i tak zwykle bywa. Grupę rządzącą na Kremlu wiąże wprawdzie, choć nie wiadomo w jakiej mierze, wspólna światobiorcza doktryna, mogąca zapewnić im jedność w dążeniu do celu. Celem tym ma być rewolucja światowa i ostateczny tryumf komunizmu. Lecz jedność celu, jeżeli nawet istnieje, nie przesądza środków jego realizacji. Powstają zagadnienia oceny sił własnych i przeciwnika, rozpoznania sytuacji, ustalenia strategii i taktyki politycznej, a tu poglądy mogą, a nieraz muszą się rozbiegać. Decyzje większości są zwykle wyrazem kompromisu, fanatyzm doktrynalny jest bezkompromisowy.

Każdy spór między zwolennikami ortodoksyjnego stalinizmu a inicjatorami bardziej elastycznych metod rządzenia, między starym a nowym pokoleniem sowieckiej elity prowadzić może do napięć i zaostrzenia antagonizmów. Cóż ma jednak czynić dygnitarz partyjny, który znalazł się w konflikcie z większością, a fanatyzm, ambicja lub namiętność władzy nie pozwalają mu na pogodzenie się z rezygnacją? Ma on przed sobą drogę otwartej rewolty, jeżeli jest na to dość silny, bądź alternatywę pałacowej intrygi, spisku, zaskoczenia, wreszcie kuli skrytobójczej lub trucizny. Obie drogi mogą zaprowadzić go na wyżyny władzy lub, jak Berię, przed pluton egzekucyjny. Parlament sowiecki i władze partii zaaprobują zawsze fakty dokonane.

Ustrój sowiecki nie ma wentyli bezpieczeństwa. Konflikty między rządzącymi rozcinać muszą akty gwałtu, jak niegdyś w epoce Borgiów. Tylko ludzie są inni, o ileż posępniejsi od kolorowych postaci renesansu.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę działanie instynktu samozachowawczego; instynkt ten zmusza na razie grupę rządzącą do solidarności. Choć z chwilą śmierci Stalina powstała w ustroju sowieckim groźna rysa, starają się oni wywołać wrażenie, że nic się nie zmieniło i że Malenkow i tow. rządzą w najlepszej harmonii, trzymając w ręku cugle władzy. Czy nie jest to wielki bluff, w który tumaniony Zachód skłonny jest uwierzyć? Trzymają się oni raczej mocno wzajemnie za poły, baczący, aby który nie wyskoczył ponad głowy innych i nie sięgnął po sceptrum Stalina. Przykład Berii wskazuje, że pożądanie władzy bierze nieraz górę nad instynktem samozachowawczym.

ISTOTA DYLEMATU

W warunkach innych niż sowieckie brak dyktatora i zasada rządów kolegialnych musiałaby prowadzić do stopniowej demokratyzacji ustroju, jak to było np. w Turcji. Droga ta wszakże jest przed wielkorządcami Rosji zamknięta. Aby zdemokratyzować ustrój, musieliby dopuścić opozycję. Byłoby to krok samobójczy: opozycja w łonie partii rozsadziłaby partię, a opozycja poza partią, przyjąwszy zorganizowaną formę, rozsadziłaby stalinowskie imperium.

Z drugiej strony, dyktatura kolegialna, to contradictio in adjecto. Instytucja dyktatury oznaczała zawsze nieograniczoną i niekontrolowaną władzę jednostki. Kolegium może być parawanem dla dyktatora, lecz nie nosicielem rzeczywistej władzy. Jedną z największych fikcji doktryny komunistycznej jest tzw. dyktatura proletariatu. Może następca Stalina wyrośnie w końcu na Kremlu — na razie trudno dostrzec kandydata. Musiałby on, jak niegdyś Stalin, wspinać się do władzy po trupach swych przeciwników, a to oznaczałoby wstrząsy grożące pęknięciem imperium. Sytuacja jest dziś inna niż w latach trzydziestych: na peryferiach obszaru sowieckiego jest sto milionów ludzi pragnących wyzwolenia. Czy jednak kolegialny system rządów nie kryje w sobie niebezpieczeństw równie groźnych dla ustroju? Wskazuje na to sprzeczność, tkwiąca w pojęciu zbiorowej dyktatury.

Jest rzeczą zrozumiałą, że mechanizm rządów w Związku Sowieckim będzie się zacinał i zgrzytał tym częściej im na większe trudności w polityce wewnętrznej i zagranicznej napotka grupa rządząca. Trudności te już obecnie są duże. I tu oczy Malenkowa i tow. zwracają się z ufnością na zachód. Nie zamierzają się oni wyrzekać stalinowskich zdobyczy ani ambitnych celów światowego komunizmu, pragnęliby jednak uprawiać politykę ekspansji w warunkach względnego bezpieczeństwa. Zachód gotów jest ofiarować im to bezpieczeństwo. Jeszcze bardziej potrzeba im towarów dla podniesienia prymitywnej stopy życiowej ludności, płacącej od lat haraczem nędzy za jednostronną industrializację — Zachód chce im tych towarów dostarczyć. Przemysłowcy brytyjscy prowadzą w Moskwie rokowania o wielomilionowe dostawy dla Rosji, a nawet nieugięta dotychczas Ameryka, jak to widać z oświadczeń p. Stassena i zaleceń komisji Randalla, zaczyna mięknąć. Miraż handlu ze wschodem działał zawsze hipnotycznie na sfery przemysłowe Zachodu. Nieustępliwość polityczna p. Mołotowa znajdzie rekompensatę w syrenim śpiewie Gławtorga.

A JAK W POLSCE?

Jakie znaczenie mają rozważania powyższe w zastosowaniu do Polski? Sytuacja w Polsce wiąże się ściśle z sytuacją w Związku Sowieckim. Każda ewolucja władzy w Moskwie znajduje prędzej czy później swój miniaturowy refleks w Warszawie. Problem władzy w Polsce ma jednak postać zupełnie odmienną. Nie było tam, nawet za życia Stalina, odpowiednika stalinowskiej dyktatury: władze centralne podlegały i podlegają nadal kontroli, co prawda nie własnego parlamentu, lecz Politbiura a później Prezydium komunistycznej partii Związku Sowieckiego. Źródłem inwestytury Bieruta, nominalnego przywódcy PZPR, była wola Moskwy; wola ta mogła go w każdej chwili pozbawić atrybutów władzy. Jego autorytet był autorytetem pochodnym i odwołalnym; właściwym przywódcą PZPR był Stalin, któremu wszyscy komuniści w Polsce, nie wyłączając Bieruta, obowiązani byli oddawać cześć bałwochwalczą.

Gdy wszyscy członkowie grupy rządzącej są tylko wykonawcami obcej woli, jest sprawą obojętną, czy rządy są jednostkowe czy też kolegialne. Nie może być między nimi konfliktów, wywołanych narastaniem problemów rządzenia, gdyż problemy te rozstrzyga za nich kto inny. Śmierć Stalina wywołała jednak formalną ewolucję władzy w Polsce: Bierut, który aspirował do tytułu „wiernego ucznia Stalina i nauczyciela narodu", stał się po prostu tow. Bierutem, a prasa komunistyczna, pogrzebawszy z dnia na dzień kult Stalina, zaczęła powtarzać za Moskwą aforyzmy o wyższości rządów kolegialnych nad jednostkowymi.

To wszystko nie świadczy jednak, aby zmiana systemu rządzenia w Moskwie nie kryła w sobie niebezpieczeństw dla reżymu w Polsce. Politbiuro warszawskie wie zapewne nie wiele więcej o tym, co się dzieje na Kremlu, niż sfery polityczne i prasa zachodu. Tymczasem każda fluktuacja władzy w Moskwie może dotknąć osobiście któregoś z czołowych komunistów warszawskich. Dotychczas zachowywali się oni z pewną rezerwą wobec wydarzeń po śmierci Stalina, czekając na krystalizację polityki swych nowych mocodawców. Gdy Malenkow i Mikojan zapowiedzieli nowy kurs polityki gospodarczej, Warszawa poszła ochoczo w ich ślady, ogłaszając znane tezy przed drugim zjazdem PZPR. Nawet egzekucja Berii nie odbiła się rykoszetem na składzie władz kompartii. Rezerwa wszakże dopuszczalna w okresie przejściowym, à la longue w stosunkach sowieckich nie popłaca: potrzeba raczej objawów czci, gorliwości i entuzjazmu, a nie bardzo wiadomo, komu je okazywać. Na pewien czas może wystarczyć entuzjazm dla rządów kolegialnych, lecz jest to abstrakcja, której rażące braki stałyby się jasne, gdyby nagle zza murów Kremla wyłonił się dyktator, szukający ofiar. Lecz jeśli domniemanemu kandydatowi na dyktatora powinie się noga i spadnie nań kapturowy wyrok jego towarzyszy partyjnych? Wszystko to stwarza niepewność jutra i rozterkę rządzących.

Jak się ta sytuacja odbije na społeczeństwie w kraju? Można wątpić, czy kraj odczuje wyraźne zmiany w policyjnym systemie rządzenia. Słabość przywódców nie osłabia terroru, lecz raczej go wzmacnia. Słabość ta nie wynika ze słabości ludzi, lecz systemu. System sowiecki jest jak kocioł pod wysokim ciśnieniem; nieznana jest ani wysokość ciśnienia ani odporność kotła. Nikt nie wie, ile kocioł jeszcze wytrzyma i czy zwiększenie ciśnienia nie rozsadzi go z hukiem, który wstrząśnie obszarem od Łaby do Pacyfiku.

*) Niektóre konstytucje współczesne przyjmują systemy pośrednie między kolegialnym a kanclerskim; tak czyni konstytucja francuska z 1946 r. i nasza z 1935 r.

KRONIKA

Warszawa ma otrzymać w r. 1954 dalszy całkowicie zrekonstruowany fragment Starego Miasta — drugą część traktu starej Warszawy. Obejmie ona ulice Szeroki Dunaj i Nowomiejską, mury obronne, Barbakan, ulicę Freta, Rynek Nowego Miasta i Zakroczymską do Konwiktorskiej. W skład drugiej części wejdzie 168 kamieniczek o łącznej kubaturze 456 tysięcy metrów sześciennych.

◆

„Trybuna Ludu" donosi, że włókniarze przemysłu wełnianego w okręgu łódzkim zaprojektowali „w czynie przedzjazdowym" 600 nowych wzorów tkanin, które kazano podziwiać publiczności na wystawie zorganizowanej w tym celu w Łodzi. Wystawiono wzory płaszczowe damskie i męskie, ubraniowe wszelkich gatunków, w kraty, prążki i pasy, przetykane barwnymi nitkami i gładkie. „Trybuna" zapewnia, że nie są to wzory laboratoryjne, lecz tkaniny wyprodukowane na skalę przemysłową. Zwiedzająca publiczność ma zapewne co do tego wątpliwości. My także.

◆

Prasa krajowa wykazywała duże, choć jednostronne, zainteresowanie przebiegiem obrad konferencji berlińskiej. „Trybuna Ludu" poświęcała całe strony przemówieniom p. Mołotowa, drukując je przeważnie in extenso, a wypowiedzi pozostałych uczestników konferencji podając w pobieżnym streszczeniu lub pomijając je całkowicie. W komentarzach powtarzał się do znudzenia ten sam refren: minister sowiecki chce pokoju, ministrowie zachodni dążą do wojny przez odrodzenie militaryzmu niemieckiego, ku czemu środkiem ma być Europejska Wspólnota Obronna. Złą prasę miał zwłaszcza p. Bidault, którego czynna rola na konferencji i solidarność z pp. Dullesem i Edenem zawiodła, jak się zdaje, oczekiwania miarodajnych czynników sowieckich.

WYKONANIE PLANU GOSPODARCZEGO

NA ROK 1953

Ukazał się obszerny komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego o wykonaniu narodowego planu gospodarczego na r. 1953. W komunikacie tym Komisja podaje, że plan ogólnej produkcji przemysłowej na r. 1953 według wartości w cenach niezmiennych został wykonany w 103,9 %. Produkcja przemysłu socjalistycznego wzrosła o 17,5 % w porównaniu z r. 1952, a o 129 % w porównaniu z r. 1949. Najwyższe odsetki przekroczenia planu wykazują: przedsiębiorstwa przemysłowe Ministerstwa Kolei (111), Ministerstwo Przemysłu Drobnego i Rzemiosła (109), przedsiębiorstwa przemysłowe Ministerstwa Zdrowia (110), Ministerstwo Przemysłu Mięsnego i Mleczarskiego (108) oraz przedsiębiorstwa wydawnicze i księgarnie (111). Natomiast Ministerstwo Przemysłu Rolnego i Spożywczego oraz Przemysłu Chemicznego nie dociągnęły do normy; pierwsze wykonało plan w 99,7 %, drugie — w 96 %. Są również niedociągnięcia w zakresie wydobywania węgla brunatnego i ropy naftowej, produkcji metali nieżelaznych, rud miedzi, maszyn dla górnictwa węglowego, obrabiarek do metali, narzędzi rolniczych, parowozów i wagonów, materiałów budowlanych, a także papieru i celulozy. Komunikat przemilcza tu wysokość niedociągnięć.

Produkcja artykułów spożycia wzrosła w r. 1953, według komunikatu, silniej niż produkcja środków wytwórczości; w dziedzinie artykułów spożycia przekroczono plan o 5,7 %, w dziedzinie zaś środków wytwórczości — o 2,5 %. Są to — wyjaśnia komunikat — skutki uchwał IX plenum KC i silnego wzrostu współzawodnictwa socjalistycznego na cześć drugiego zjazdu PZPR. Zjazd został wprawdzie odroczony, lecz machina agitacyjna reżymu zdołała w okresie intensywnej kampanii przedzjazdowej wydusić od robotników wyższe normy. Temu wzrostowi produkcji artykułów spożycia nie odpowiada jednak polepszenie ich jakości. Komisja skarży się, że „wiele przedsiębiorstw przemysłu lekkiego, spożywczego i drobnego wciąż jeszcze produkuje wyroby nie odpowiadające potrzebom i wymaganiom ludności". Dotyczy to zwłaszcza tkanin bawełnianych i wełnianych, odzieży, obuwia i mebli. Pieczywo i wędliny również „nie odpowiadają wymogom konsumentów" (lepsze rodzaje wędlin idą, jak się zdaje, na eksport).

Stan rzeczy w rolnictwie jest nadal niezadowalający. Zbiory czterech zbóż „z powodu niesprzyjających warunków atmosferycznych" były w r. 1953 niższe niż w r. 1952, komunikat nie informuje jednak, o ile niższe. Zbiory natomiast ziemniaków były w r. ub. o 15 %, a zbiory buraków cukrowych o 16 % wyższe niż w r. 1952.

Pogłowie bydła w całym rolnictwie osiągnęło w połowie r. ub. 7,4 mln. sztuk, w tym krów ok 5,3 mln., pogłowie trzody chlewnej około 9,7 mln. sztuk, owiec około 3,3 mln. sztuk. Wzrost pogłowia bydła i krów komunikat uznaje za niewystarczający; w porównaniu ze stanem w r. 1952 wynosi on 2 %. Zaopatrzenie gospodarstw indywidualnych w maszyny i narzędzia rolnicze wykazuje, według komunikatu, polepszenie, choć plan zoopatrzenia nie został w pełni wykonany.

Tempo kolektywizacji uległo w r. 1953 znacznemu przyspieszeniu: w r. 1952 było 4,9 tysięcy spółdzielni produkcyjnych, w r. 1953 liczba ta wzrosła do ponad 8000. Cyfrę tę podaje się już od pewnego czasu, z czego można by wnioskować, że ostatnio zapanował zastój w tej dziedzinie. Komunikat stwierdzi, że plony zbóż w spółdzielniach produkcyjnych były o 15-20 % wyższe niż w gospodarstwach indywidualnych, lecz podaje również wytłumaczenie tego faktu: w r. 1953 państwowe kredyty inwestycyjne dla spółdzielni produkcyjnych wzrosły o 71 % w porównaniu z r. 1952. Gospodarka natomiast w PGR-ach, pomimo znacznego wzrostu zaopatrzenia ich w traktory i maszyny rolnicze, jest nadal zdecydowanie zła; nie wykonały one zadań planu na r. 1953, co komunikat przypisuje „niedostatecznej sprawności kierownictwa i organizacji pracy" oraz niekorzystnym warunkom atmosferycznym.

Widać z powyższego, że intensywna kampania reżymu o podniesienie wydajności produkcji rolnej nie daje, jak dotychczas, oczekiwanych rezultatów. Chłop pozostaje nadal oporny.

Przewozy ładunków środkami transportu publicznego wzrosły w tonach o 22 % w porównaniu z r. 1952. Koleje w r. ub. wykazały większą sprawność, zwłaszcza w ruchu towarowym. Nie dotyczy to zapewne ruchu osobowego, gdyż listy czytelników w prasie krajowej skarżą się na nieopalanie wagonów i poczekalni na dworcach.

Wzrosły również w r. 1953 nakłady na inwestycje przemysłowe i budownictwo. Wybudowano szereg nowych obiektów przemysłowych bądź powiększono istniejące; w budownictwie mieszkaniowym oddano do użytku około 135 tys. izb. Komunikat sam podaje w wątpliwość tę cyfrę, stwierdzając opóźnienia w oddawaniu do użytku obiektów inwestycyjnych.

Osiągnięto pewną poprawę w zaopatrzeniu ludności w artykuły rolniczo-spożywcze, w związku z czym nastąpiła zwyżka detalicznych obrotów handlu o ok. 6 %. Komunikat dostrzega polepszenie zaopatrzenia ludności w mięso, przetwory mięsne, mleko i masło, tkaniny i obuwie, radioodbiorniki i rowery. Jeżeli chodzi o handel zagraniczny, komunikat podaje tylko, że obroty towarowe Polski objęły wymianę z 71 krajami oraz że zwiększyła się poważnie wymiana handlowa ze Związkiem Sowieckim i krajami demokracji ludowych. Wbrew zatem głośnym ofertom o zwiększenie handlu z zachodem, tendencje autarchiczne bloku sowieckiego nie wykazują bynajmniej osłabienia.

Liczba zatrudnionych w gospodarce socjalistycznej wynosiła w r. 1953 około 6 mln. osób, przy czym liczba zatrudnionych poza rolnictwem wzrosła w porównaniu do r. 1952 o 7 %, a liczba zatrudnionych w rolnictwie o 14%. Dochód narodowy w r. ub. miał wzrosnąć o 10 %, a udział gospodarki socjalistycznej w tworzeniu tego dochodu wyniósł 76 %.

Komunikaty Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, operujące niemal wyłącznie odsetkami wzrostu produkcji, a przemilczające nawet odsetki, jeżeli te nie wykazują wzrostu, niewiele dają materiału do wniosków o stanie gospodarki w Polsce, tym więcej, że wiarogodność odsetek jest nieraz także wątpliwa. Uprzemysłowienie Kraju niewątpliwie postępuje; odbywało się ono w latach ubiegłych kosztem poziomu życia ludności i wyzysku pracy robotniczej. Ten stan rzeczy trwa nadal bez większych zmian.

J. A. MARYAŃSKI

Tragizm książki polskiej

Krajowy tygodnik związku literatów „Nowa Kultura" opublikował przed paru tygodniami jeden z typowych dziś, niestety, kwiatków „twórczości literackiej" w sowieckiej niewoli: list do redakcji — donos. Autor, 11-to-klasista Liceum dla Pracujących w Tczewie, spełniając zapewne powinność aktywisty partyjnego, denuncjuje publicznie swych kolegów, szeroko rozwodząc się nad ich negatywnym stosunkiem do zalecanej przez program szkoły lektury. Pisze, że młodzież z wyraźną niechęcią odnosi się do współczesnych dzieł literatury. Z wyjątkiem donosiciela nikt nie bierze do ręki skarbów przodującej twórczości radzieckiej czy domowego chowu socrealnych płodów, produkowanych na zamówienie. Koledzy i koleżanki stroskanego „przodującego polonisty" uciekają od współczesnej literatury ku lekturze utworów o małej czy wręcz żadnej wartości. Jako przykład takiej ucieczki podaje „Trędowatą" Mniszkówny, w której kocha się cała klasa. Nie pomagają perswazje aktywisty, który idzie tak dalece na taktyczne ustępstwo wobec współkolegów, że w miejsce programowej lektury podsuwa „neutralnych" (jak sam to określa) autorów: Axela Munthe, Romain Rollanda czy Żeromskiego. Groch o ścianę — koledzy nie wierzą mu, nie ufają. Znają prawdziwe zainteresowania aktywisty, według którego robotnik powinien się kochać w przodownicy, a w najlepszym razie w członkini spółdzielni produkcyjnej, którego zasadniczą strawą duchową są książki o rewolucji i proletariacie. Bezskuteczne są jego wysiłki, by nauczyć „kolektyw klasy" odróżniania książki złej od dobrej. Ba, zdaniem jego, nawet autorytet nauczyciela nie wystarcza do wpojenia socjalistycznej definicji książki „dobrej". Dlatego też donosiciel apeluje o pomoc do swych mocodawców, UB-owców wydzielonych do referatu literatury. Sprawa jest pilna, bo donosiciel „nie łudzi się i myśli", że takie samo stanowisko, jak jego koledzy, zajmuje znacznie więcej młodzieży.

Obrazek niewątpliwie smutny. Nie tylko zresztą ze względu na formę, w jakiej został podany. Donos tzw. „korespondenta terenowego" radzieckiej wzorem należy dziś do zjawisk w Kraju powszednich. Przykład liceum w Tczewie odsłania również coś więcej: jedną z ponurych stron życia i rozwoju młodzieży w Kraju: **katastrofę braku kierownictwa duchowego**, w prawdziwie polskim tego rozumieniu. Młodzież wiedziona zdrowym, narodowym instynktem samoobrony odwraca się z obrzydzeniem od książki, której celem jest wlać w młodą duszę jad nienawiści do przeszłości Polski, skłócić warstwy narodu, by je potem wygrać w walce między sobą, która zdyszy wszystko, co z prawdziwie chrześcijańskiego i polskiego płynie ducha, która natomiast ma zadanie uczyć miłości ku wzorom „nowego porządku". Olbrzymia większość pedagogów z celem największym spełnia dziś funkcje wychowawców i realizatorów komunistycznego programu wynarodowienia młodego pokolenia. Wielu z nich na pewno sabotuje ten program w granicach szczupłych możliwości, jakie istnieją w państwie opartym na działalności szpicla i donosiciela.

Ten bierny opór nauczyciela naturalnie nie wystarcza. **Młodemu człowiekowi trzeba czegoś więcej — trzeba konkretnej, jasnej, przekonywującej wskazówki, rady i zalecenia: c o c z y t a ć**, by choć w pewnym stopniu zneutralizować działanie jadu. Z wielu względów nie daje tej wskazówki nie tylko wychowawca, ale i dom rodzinny, przytłoczony ponad siły walką o wiązanie końca z końcem. Skutek jest taki, że młody człowiek, odrzucając nakazaną literaturę, sięga na ślepo, po omacku, po linii najmniejszego oporu po rzeczy niewartościowe. Traci na taką literaturę cenny czas, korzyści nie odnosząc żadnej. Wiadomo, czym jest pojęcie ekonomii czasu, pozostawionego do osobistego rozporządzenia człowiekowi w spętanym Kraju. Zagadnienie „straty czasu" jest specjalnie ważne w odniesieniu do **młodzieży**.

* * *

Kwestia odpowiedniej lektury dla młodego człowieka w Kraju łączy się ściśle z całością zagadnienia książki, polskiej z ducha i tendencji. Książce tej, jak wiadomo, reżym okupacyjny wypowiedział bezpardonową walkę. Program jej likwidacji przeprowadza planowo, z zastosowaniem całego arsenału chytrych, oszukańczych, zakłamanych metod. Dwie z nich pragnę tu omówić.

Jedna — to chwilowe „uznanie" książki, ba, nawet jej propagowanie. Hitleryzm załatwiał sprawę po swojemu — gorejącymi stosami znaczył szał obłędnej nienawiści do innych, niż jego własna, ideologii. O ileż „wytrawniejszą" jest metoda komunistycznego najeźdźcy! Ten, w pierwszym przynajmniej etapie, stara się naciągnąć założenia ideologiczne dzieła do własnych potrzeb, używając przelicznych spekulatywnych sztuczek, narzuca mu własną interpretację. Przy takiej taktyce „dobrej woli" niemal wszyscy wielcy polskiej literatury, z Mickiewiczem, Sienkiewiczem, Żeromskim, Prusem, Orzeszkową na czele, uzyskali komunistyczne „placet" i „imprimatur". Dzieła ich ukazują się w setkach tysięcy nakładu. Sienkiewicz, ten zdawałoby się rasowy „reakcjonista", pobił nawet wszystkie rekordy wydawnicze: osiągnął zawrotną cyfrę około półtora miliona egzemplarzy nakładu! Oczywiście nie dzieje się to — za darmo. Każdy z luminarzy polskiej literatury ma do spełnienia przypisaną, konkretną rolę. Tak więc Mickiewicz, to „trybun ludowy", pionier rewolucji; Żeromski czy Orzeszkowa to przodujący radykałowie społeczni — a Sienkiewicz to niemal ideolog „Frontu Narodowego".

Wiele analogii z sowieckiej taktyki wskazuje na to, iż koniunktura szczytów naszej literatury jest dyktowana potrzebą chwili, chytrością, która nie pozwala zrażać ogółu zbyt drastycznymi pociągnięciami a wreszcie niemożnością zapełnienia pustki, jaka by powstała przy zbyt radykalnych posunięciach.

W licznych dziedzinach zsocjalizowanego życia dzieje się tak, jak uczy historia lat ubiegłych, że to, co było tolerowane do czasu, czy nawet zalecane, staje się wrogiem reżymu, idzie na komunistyczny indeks. Tak jest w życiu gospodarczym, tak w muzyce, sztuce, tak w sporcie, tak jest i z ludźmi, których oszołamiające kariery nikną, jak meteory. Tak jest i w literaturze.

Komunistyczny indeks — to druga metoda. Tę zastosowano w Kraju już w pierwszych latach okupacji w stosunku do najgroźniejszych przeciwników, do ludzi żywych, twórców, którzy znaleźli się poza Krajem, w obozie „emigracyjnych zdrajców". Zdyskwalifikowano ich radykalnie, gdyż twórczość ich stanowi wciąż aktualne niebezpieczeństwo. Wykreślono wreszcie w tej indeksowej akcji wszystko, co mówiło o niezależnej polskiej myśli politycznej, przede wszystkim zaś to, co było z ducha polskie, narodowe, chrześcijańskie.

Na swój swoisty sposób Kraj z tym indeksem walczył i na pewno walczy do dziś. Książka, ta zakazana, zeszła w sui generis konspirację. Od prywatnego posiadacza wędruje z rąk do rąk w gronie zaufanych osób.

Oto charakterystyczny przykład z mej własnej praktyki.

Był rok 1949. Wertując katalog w pewnej nieupaństwowionej jeszcze wypożyczalni spostrzegłem, że niektóre dzieła wykreślone są pociągnięciem ołówka, tak jednak, że i autor i tytuł doskonale były czytelne. Jedną z takich pozycji była powieść Romana Dmowskiego „Dziedzictwo", wydana pod pseudonimem K. Wybranowski. Korzystając z tego, że w wypożyczalni zrobiło się luźniej, postanowiłem sprawdzić wyniki akcji „oczyszczającej". Podszedłem z katalogiem do bibliotekarza z prośbą o tę właśnie książkę. Znał mnie z widzenia od dawna, więc też zniżywszy tylko głos zapytał, czy wiem kto jest jej autorem. Potwierdziłem, nie wymieniając nawet nazwiska Dmowskiego. Porozumieliśmy się spojrzeniem. Bibliotekarz oświadczył, że wprawdzie książka ta na zarządzenie wydziału kultury została „zniszczona", ale on mi jutro przyniesie z domu „inny" egzemplarz. Przekazał mi ją nazajutrz z zachowaniem całej procedury konspiracyjnej: starannie owiniętą w papier, bez słowa... Tak się przejmowało z rąk kuriera meldunek czy plik podziemnej prasy. Wyszeptał tylko, bym możliwie rychło zwrócił, bo na książkę czekają inni. Przykład na pewno nie odosobniony.

Opisana wyżej konspiracyjna metoda kursowania książki zakazanej stosowana być może z powodzeniem przez stosunkowo nieznaczną część czytelników, przez tych głównie, dla których książka to stary przyjaciel, którzy dysponują odpowiednią dozą doświadczenia, którzy potrafią sobie sami radzić i pokonywać przeszkody.

Młody człowiek natomiast, któremu danym jest dorastać i rozwijać się w ramach obecnej smutnej rzeczywistości w Kraju, zdany jest najczęściej na błądzenie po manowcach w szukaniu strawy umysłowej i duchowej. Jak najczęściej wygląda jego ucieczka od współczesnej, odpychającej go literatury — widzieliśmy na przykładzie młodzieży z Tczewa.

Warunki w Kraju są takie, iż trudno się łudzić, by Kraj sam mógł temu zaradzić. Cytowany donosiciel stwierdza brak kierownictwa ze strony pedagogów, bo „wiadomo, polonista albo nie ma czasu albo powie, żeby mu głowy nie zawracać, bo i tak ma masę roboty". To tylko część prawdy. Tak, nauczyciel jest przepracowany. Jest też — o czym donosiciel milczy — pod stałym terrorem. Przed paru dniami prof. Marek Korowicz, obejmując katedrę uniwersytecką w stanie Massachussets, z bólem ogromnym tak ujął sytuację pedagogów w Polsce: słowa ich kłamać muszą własnym myślom!

I dlatego na tym, tak niezmiernie ważnym odcinku narodowego życia, **Krajowi z pomocą przyjść musi — emigracja!**

Zadanie kierowania wychowaniem młodego pokolenia w Kraju da się w pewnej, ważnej bardzo, części zrealizować za pomocą sposobu nie znającego granicznych kordonów i wszelkich kurtyn — **za pomocą radia!**

Do tej pory, niestety, w audycjach tak licznych radiostacji, mających nieść Krajowi prawdę, nawet w audycjach specjalnie przeznaczonych dla młodzieży, na ten tak zasadniczy temat nie zwraca się dostatecznie uwagi. Może przyczyna niewykorzystywania tych kolosalnych możliwości tkwi w tym, że co radiostacja — to inny pan, że brak jakiegoś polskiego ośrodka, który by miał głos decydujący przy ustalaniu programów, który by potrafił narzucić — nie sądzę, by było to zbyt trudnym — tym wszystkim, polskimi się mieniącym radiostacjom, konkretny, jednolity, głęboko przemyślany **plan pracy nad wychowaniem młodzieży w Kraju**, program bieżącego naprawiania szkód, wyrządzanych młodym duszom i umysłom. To wcale nie wystarczy, jak się to praktykuje, rzucić od czasu do czasu jakieś nazwisko sowieckie czy reżymowe i przeciwstawić mu polskie. Trzeba wysiłku systematycznego, ciągłego i gruntownego. **Nie będzie dla radia ujmą, jeśli stanie się w pewnym sensie szkołą polską!** Koniecznym jest dla młodzieży w Kraju żywy, starannie dobrany, interesująco podany kurs literatury ojczystej. Nie w paruminutowych dawkach, ale w potężnych porcjach, które stanowić będą lwią część programów. Trzeba stale apelować do skołatanych rodziców, by nad akcją tą roztoczyli swą opiekę, z uwzględnieniem całego kompleksu przeszkód i trudności.

Za dużo miejsca poświęcają wolne radiostacje wszelkiego rodzaju płytkiej propagandzie. Tymczasem Kraj, karmiony tą propagandą od lat niemal 15, nie tylko traci do niej zaufanie, ale i — rzecz całkiem zrozumiała — zaczyna jej mieć dość. Hasła „nie dajmy się, wytrwajmy, opierajmy się" będą miały wtedy istotny sens, jeżeli będą trafiały do ludzi, którzy świadomi są konieczności tego wytrwania. Nie wolno ani na moment zapominać o tym, że dorasta w Polsce kilkanaście roczników młodych ludzi, którzy pozbawieni zostali siłą brutalnych wydarzeń dobrodziejstwa normalnego wychowania narodowego. Skoro zaś istnieją stosunkowo bardzo wielkie możliwości wyrównania choć w części strat ponoszonych przez naród polski na odcinku wychowania młodzieży, przeto tym większe jest do spełnienia zadanie polskiej emigracji politycznej. **Tym większa jej wobec Kraju odpowiedzialność.**

Pewne smutne przykłady świadczą nie tylko o braku programu na tym odcinku, ale i o braku poczucia odpowiedzialności.

Zachód słusznie chlubi się swobodą wypowiadania własnych myśli i poglądów. Taką swobodą, według własnych zapewnień, cieszą się i wolne radiostacje.

Nikomu też na Zachodzie specjalnie nie szkodzi — co najwyżej drażni — gdy krewki pisarz na łamach literackiego tygodnika z pasją stara się pognębić Sienkiewicza, nie opuszczając takiej „okazji" ku temu, jak pisanie na temat... niemieckiego filmu o Hitlerze. Tegoż Sienkiewicza zestawia, ni mniej ni więcej, tylko z lekturą niemieckich wydawnictw o Hitlerze (sic!) czy lekturą Karola Maya.

Gorzej jest natomiast, gdy ta sama wolna, nieskrępowana myśl na temat Sienkiewicza płynie do Kraju, gdy dwudziestolatkowi krajowemu odradza się branie do ręki Sienkiewicza, dyskwalifikuje twórcę Trylogii jako wychowawcę.

Ciśnie się pytanie: cóż wobec tego zalecić młodzieży krajowej jako remedium przeciw jadowi rzeczywistości?

Przykład powyższy przytaczam na dowód, jak ogromnie ważną sprawą jest kwestia p r o g r a m o w o ś c i tego, co do Kraju na falach eteru płynie.

Ogrom zagadnień związanych z polską akcją polityczną na terenie międzynarodowym nie może sprawić, by sprawy wewnętrznego, krajowego frontu walki z komunistycznym zalewem spychane były na tor boczny, czy pozostawiane inicjatywie jednostek. Sprawy te w równym stopniu muszą być przedmiotem troski kierownictwa politycznego emigracji polskiej.

J. A. Maryański

„KATOLICY REŻYMOWI" PROPAGUJĄ KOMUNIZM

Powoli odsłaniają się kulisy celów nowej organizacji katolików reżymowych, która — na polecenie komunistycznego rządu — została utworzona przed kilkoma miesiącami pod nazwą „Ogólnokrajowa Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Głównym Komitecie Frontu Narodowego". Prawie bez przerwy odbywają się zebrania zarówno zarządu tej Komisji, jak i jej lokalnych oddziałów w różnych częściach Polski. Z tematów poruszanych na tych zebraniach tworzy się coraz dokładniejszy obraz celów, jakie sobie ta grupa zbłąkanych ludzi stawia.

Ze wszystkich danych wynika, że „katolicy reżymowi" stawiają sobie za główny cel pilnowanie Episkopatu, aby podporządkował się dyrektywom komunistycznym. Na jednym ze wspomnianych zebrań referent oświadczył, iż „ruch postępowo katolicki" musi baczyć, aby Deklaracja Episkopatu nie stała się „martwym prawem". Innymi słowy towarzystwo to stawia sobie za cel inwigilację Biskupów, aby wykonywali to, czego żądają komuniści.

Referat powyższy wygłosił jeden z członków „świeckich intelektualistów", redaktor Ryszard Reiff z grupy „Dziś i Jutro". Grupa ta wysuwa się na plan pierwszy, jeśli chodzi o współpracę z komunizmem i narzuca swoje pomysły innym. Głównym przywódcą grupy jest Bolesław Piasecki, który na wspomnianych zebraniach wygłasza również zasadnicze referaty. Jednym z tematów, które w nich porusza jest wskazanie, w jaki sposób „reżymowi katolicy" mogą uzyskiwać poparcie komunistów.

„Zadaniem Komisji — głosi Piasecki — jest zmobilizowanie wszystkich katolików do świadomego współbudowania Państwa Ludowego w ramach Frontu Narodowego. Komisje będą się rozrastać dzięki potężnemu wkładowi katolicyzmu we Froncie Narodowym. Winny one wykazać, że światopogląd katolicki, który nie przesądza związków z dawnym ustrojem, posiada olbrzymią siłę inspirowania aktywności Polaków dla celów Frontu Narodowego. Im bardziej zdołamy wzmocnić skuteczność tej inspiracji, tym większe będą możliwości Komisji."

Tłumacząc te frazesy na język codzienny, cele te przedstawiają się w sposób następujący: komunizm w Polsce nie może sobie dać rady ze sowietyzowaniem społeczeństwa polskiego, reżymowi katolicy przychodzą mu więc z pomocą. (IC)

ZJAZDY I KONFERENCJE KSIĘŻY-PATRIOTÓW

W Polsce odbywają się w dalszym ciągu terenowe zjazdy i konferencje tak zwanych „komisji duchownych i świeckich działaczy katolickich przy komitecie Frontu Narodowego". Zjazdy te organizowane i kontrolowane są przez wysłanników Warszawy. Celem ich jest zwiększenie liczby patriotów i wykazanie się wobec reżymu „działalnością społeczną". Konferencje te nie cieszą się powodzeniem. Biorą w nich udział jedynie aktywiści oraz ci księża, których do tego zmuszono.

Jedno z takich okręgowych zebrań odbyło się w dniu 3 lutego br. w Szczecinie. Przewodniczył reżymowy ksiądz Jan Czarnecki. Centralę i kontrolę warszawską reprezentował redaktor Janusz Zabłocki.

OBRAZKI Z ŻYCIA KRAJU

BIADA WYSOKIM

„Piszę w imieniu wszystkich nieszczęsnych mężczyzn, którzy są dość wysokiego wzrostu i do których ja niestety też się zaliczam (mam 182 cm).

Nieszczęśnicy, zdani na łaskę naszego przemysłu odzieżowego, nie mogą znaleźć gotowych ubrań, marynarek, wiatrówek czy też koszul odpowiednich do ich wzrostu.

W handlu brak (względnie zdarzają się bardzo rzadko) wymiarów ubrań (marynarek i wiatrówek) nr 52 i 54, koszul o kołnierzykach nr 43, 44 itp.

Jak informują mnie w sklepach sprzedawcy, większe rozmiary konfekcji i bielizny męskiej są bardzo szybko wykupywane. Wskazuje to na duży popyt na rynku na te wymiary, lecz niestety dystrybutorzy czy też wytwórcy nie chcą o tym wiedzieć.

Szukam od czterech miesięcy w Zielonej Górze, Poznaniu i Warszawie (Dom Odzieży na MDM) marynarki nr 54 welwetowej lub z materiału (ewentualnie wiatrówki), ale wciąż bez skutku.

Od 5 miesięcy szukam koszuli sportowej nr 43, też bez rezultatu. Podobnie rzecz się ma z rannymi pantoflami nr 43-44 (skórzane obuwie w tych rozmiarach też nie grzeszy większym asortymentem).

Zaczynam być popularnym w szeregu sklepów, do których z uporem maniaka chodzę stale pytać, czy nie ma poszukiwanego przeze mnie ubrania.

Na pewno w tej samej sytuacji znajdują się jeszcze setki ludzi w Polsce, a przecież są i wyżsi ode mnie. Dlaczego przemysł odzieżowy traktuje nas po macoszemu?"

(„Trybuna Ludu" nr 15 z 1954)

ZEGARY

„Chciałem kupić zegar kominkowy. W sklepie nr 1 Przedsiębiorstwa Handlu Detalicznego „Jubiler" na ul. Nowy Świat 27 znalazłem odpowiedni zegar (ciemny, z politurą koloru moich mebli, cena 492 zł), cóż kiedy nie bije. Sprzedawca doradził mi, abym zaniósł go do zegarmistrza. Nie skorzystałem z rady — szukałem dalej. W sklepie nr 4 przy ul. Marszałkowskiej biły zegary, dla odmiany bez kluczy. W sklepie nr 2 przy ul. Marszałkowskiej 94 też były zegary, ale popsute. Sprzedawca tamtejszy również doradzał mi (z uśmiechem), ażeby zanieść do zegarmistrza. W sklepie przy ul. Koszykowej 56 zegarów w ogóle nie było.

Jak widać, wcale nie tak łatwo kupić w Warszawie zegar, mimo że zegary są. Dziwi mnie tylko, dlaczego tyle jest zegarów popsutych. Czy kupno chodzącego zegara to jak wygranie na loterii głównego losu?"

(„Trybuna Ludu" nr 41 z 1954)

◆◆◆◆◆

Agencja PAP podaje, że 18 stycznia odbyły się we wszystkich dzielnicach Moskwy uroczyste akademie żałobne poświęcone 30 rocznicy zgonu Lenina, „założyciela Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, twórcy państwa radzieckiego, wodza i nauczyciela mas pracujących całego świata". 21 stycznia odbyła się w moskiewskim Teatrze Wielkim akademia centralna z udziałem Malenkowa i elity sowieckiej. O dzień wcześniej, 20 stycznia, odbyła się podobna akademia w Warszawie pod przewodnictwem Bieruta, z udziałem Zawadzkiego, przedstawicieli władz i organizacji społecznych oraz ambasadora sowieckiego w Warszawie, Popowa. Panegiryk na cześć Lenina wygłosił najpierw Bierut, potem Ochab. Obaj, stosując się do nowego kursu politycznego, unikali powoływania się na Stalina, wymieniając jego imię tylko z rzadka i en passant, w kontekście Marks-Engels-Lenin. Czasy się zmieniają. Coś podobnego jeszcze przed rokiem byłoby nie do pomyślenia. Ale skąd ten kult Lenina? Był on, jak głosi doktryna sowiecka, wyznawcą zasady rządów kolegialnych, choć nie bardzo stosował ją w praktyce.

MONOGRAFIA TROCKIEGO

Isaak Deutscher, autor książki o Stalinie, ogłosił obecnie monografię Trockiego; książkę tę zatytułowaną „The Prophet Armed", wydała Oxford University Press (cena 30 sh.). Obejmuje ona okres od r. 1879-1921, z czego wynikałoby, że autor zamierza ogłosić dalszą jej część.

Deutscher wyraźnie sympatyzuje z Trockim, choć zarzuca mu pewne omyłki polityczne, np. w ocenie możliwości przewrotu komunistycznego w Niemczech. Zdaniem Deutschera, w lecie r. 1920 Trocki był przeciwnikiem marszu wojsk sowieckich na Warszawę; uważał, że należy armię czerwoną zatrzymać i wysunąć jawną propozycję pokoju. Zrobiłoby to, rozumował Trocki, korzystne wrażenie na społeczeństwie polskim. Jednak Lenin i większość Politbiura była za kontynuowaniem pościgu rozbitych wojsk polskich po Warszawę i dalej. Lenin był przekonany, że „robotnicy i chłopi" polscy powitają najeźdźców jako wybawicieli. W ogóle — stwierdza Deutscher — przywódcy bolszewiccy byli mylnie poinformowani o nastrojach panujących w Polsce. Polscy chłopi i robotnicy potraktowali wkraczających żołnierzy sowieckich jako najeźdźców a nie jako oswobodzicieli — i wynikiem była klęska armii czerwonej.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY WYDAWNICTW Z HISTORII LITERATURY POLSKIEJ, TEORII LITERATURY I JĘZYKOZNAWSTWA *)

Opracowała MARIA DANILEWICZOWA, mgr. fil. U.W.

KRASICKI, Ignacy. Nr 1 „Zeszytów Wrocławskich" z r. 1952 poświęcony jest w całości księciu biskupowi warmińskiemu i zawiera m.i.: Tad. Mikulski: „Gość w Heilsbergu" (na tropach Krasickiego w dawnej jego rezydencji) i „Adresaci listów Krasickiego"; Konrad Górski: „Ign. Krasicki jako biskup warmiński"; Z. Goliński: „Ign. Krasicki w pamiętnikach E. A. H. Lehndorffa"; Roman Kaleta: „Poselstwo do Rzymu"; R. Sobol: „Ign. Krasicki w walce o język narodowy"; S. Sovetov: „Do zagadnienia języka polskich poematów satyrycznych w. XVIII (przekład z rosyjskiego artykułu ogłoszonego w r. 1949 w Moskwie w „Uczenych Zapiskach Inst. Sławianoviedenija Akad. Nauk S.S.S.R."); R. Pollak: „Antecendencje Monachomachii; M. Klimowicz: „Ign. Krasicki wobec reformy Akademii Krakowskiej"; Z. Kubikowski: „Godebski o Krasickim", B. Horodyski: „Teka Dubiecka"; Tad. Mikulski: „J. G. Fülleborn, zapomniany tłumacz Ign. Krasickiego"; Tad. Gostyński: „Ignacy Krasicki w Rumunii"; Jan Reychman: „Rzekome przekłady Krasickiego na arabski i ich autor". Nakładem „Książki i Wiedzy" w Warszawie ukazał się przedruk „Historii na dwie księgi podzielonej" Ign. Krasickiego w opracowaniu J. Ziomka (1952, str. XXXIII, 146 w serii „Bibl. Pisarzy Polskich i Obcych", t. 63), który omówił ją nadto w „Pamiętniku Literackim" XLI, 1950, str. 329-72. Wacław Kubacki w „Monachomachii przed sądem potomności" (Warszawa, „Książka i Wiedza", 1951, str. 80) naiwnie a tendencyjnie wychwala antymonarchizm i antyfeodalizm Krasickiego. Współpracę Krasickiego w czasopiśmie „Co tydzień" analizuje J. Gawałkiewicz w „Pracach Polonistycznych", XLIII, 1952, str. 867-893.

NARUSZEWICZ, Adam. H. Barycz: „O niedoszłym wrocławskim wydaniu Historii narodu polskiego" („Zeszyty Wrocławskie", VI, 1952, Nr 3, str. 107-116); „Pociecha w historii. Nieznany list A. Naruszewicza". Ogłoszono z rękopisu w „Pamiętniku Literackim", XLIII, 1952, str. 1046-8.

NIEMCEWICZ, Julian Ursyn. „Powrót posła. Komedia w 3 aktach" wydana została w r. 1952 przez Zakł. Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu w serii „Nasza Biblioteka" (str. 108). — W nrze 9 „Twórczości" z r. 1951 (str. 113-27) znajdujemy „Fragmenty pamiętnika J. U. Niemcewicza" z r. 1806, dotyczące m. in. pobytu w Filadelfii w r. 1806. Z. Skwarczyński: „Próba charakterystyki Dwu Siecichów" („Prace Polonistyczne", VIII, 1950, str. 101-110); J. Dihm: „Jan z Tęczyna" („Sprawozdania Polskiej Akad. Umiejętności", LII, 1951, Nr 1, str. 11-15); M. Witkowski: „J. Ursyn Niemcewicz i Aniela Węgorzewska. 6 nieznanych listów z lat 1818-20" („Pamiętnik Literacki", XLIII, 1952, str. 1049-58).

STASZIC, Stanisław. „O nauce, jej znaczeniu i organizacji", wybór pism Staszica, opracował Bogdan Suchodolski (Warszawa, Państw. Wyd. Naukowe, str. 379,5 ill.). — „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego", wyd. Stefan Czarnowski i B. Leśnodorski, wyd. 2 („Bibl. Narodowa", seria I, nr. 90, str. LVIII, 222,4) nakł. Zakł. Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. — „Wybór pism" w opracowaniu C. Bobińskiej (Warszawa, „Książka i Wiedza", 1952, str. XLIV, 220);

TREMBECKI, Stanisław. Przekład „Syna marnotrawnego" (L'Enfant prodigue) Voltaire'a ogłosił J. Adamski, jako Nr 63 serii II „Biblioteki Narodowej" (Wrocław, Zakł. Nar. im. Ossolińskich, 1951, str. LXVIII, 96). Przekład Trembeckiego poprzedzony jest rozprawką o recepcji Voltaire'a w Polsce.

J. Kott na marginesie prac nad zbiorowym wydaniem pism Trembeckiego, które ukazało się w r. 1953 (nie objętym obecnym przeglądem) ogłosił: „Trembecki w świetle rękopisów i pierwodruków" w „Sprawozdaniach Polskiej Akad. Umiejętności", LI, 1950, Nr 9, str. 568-575, „Trembeciana" („Pamiętnik Literacki", XLI, 1950, str. 885-933 i XLII, 1950, str. 908-16), „O języku i stylu Trembeckiego" („Twórczość", 1952, Nr 11, str. 137-151).

WĘGIERSKI, Tomasz Kajetan. J. Maciejowski: „T. K. Węgierski", („Prace Polonistyczne", IX, 1951, str. 83-100) — dotyczy m.i. pobytu Węgierskiego w Anglii.

WYBICKI, Józef. Ł. Kurdybacha: „Listy patriotyczne Józefa Wybickiego" („Pamiętnik Literacki", XLI, 1950, str. 717-51).

ZABŁOCKI, Franciszek. „Sarmatyzm", wyd. Ludwik Bernacki i Tad. Mikulski. Nowe wyd. w „Bibl. Narodowej" (Seria I, nr 115, str. LVIII, 152) nakł. Zakł. Narod. im. Ossolińskich we Wrocławiu (1951).

ZAŁUSKI, Józef Andrzej. Grzegorz Sinko omawia próby dramatyczne Załuskiego, a w szczególności „Ludzkość litującą się" (1778) w „Pamiętniku Literackim", XLI, 1950, str. 792-832. Sztuka oparta jest na „L'Humanité ou le Tableau de l'Indigence", błędnie przypisywanej Diderotowi w wyd. pism jego w r. 1773.

ŻÓŁKOWSKI, Alojzy. A. Kowalska: „Zapomniana satyra polityczna i społeczna czasów Królestwa Kongresowego" („Prace Polonistyczne", X, 1952, str. 91-121) artykuł dotyczy „Momusa" i „Potpourri" (1820-1).

M. Danilewiczowa

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) Por. nry 23 (311), 27 (315), 36 (324), 40 (328), 45 (333), 49 (337), 3 (343), i 6 (346).

ZOFIA ROMANOWICZOWA

KSIĄDZ PIOTR

Najpopularniejszą osobą we Francji jest od kilku tygodni ksiądz Piotr-abbé Pierre. Jeżeli wszystkie tygodniki ilustrowane, nawet te od najtańszych sensacji, usunęły w cień fotografie gwiazd filmowych i króla Faruka na wygnaniu, to dlatego, że czytelnik, każdy czytelnik, pragnął przede wszystkim wiedzieć coś o abbé Pierre, zobaczyć go przy pracy. To, czego od tylu lat nie potrafił zdziałać żaden mąż stanu, żadna wybitna osobistość społeczna, żaden pisarz ani filozof, udało się w ciągu paru godzin skromnemu księdzu katolickiemu: zjednoczenie narodu francuskiego w wielkim porywie solidarności i miłosierdzia.

Księdza Piotra wyniosła na powierzchnię popularności wielka fala mrozów, która ostatnio nawiedziła także i Paryż. Z dnia na dzień w gazetach zaczęły ukazywać się wzmianki o ludziach zamarzłych na śmierć na ulicy, o dzieciach zamarzłych na śmierć w budach skleconych z dykty i starych desek. Czytającym te notatki w ciepłych domach nieszczuchom było pewno nieswojo na moment, ale to i wszystko. W Paryżu nie brak nigdy włóczęgów, popularnych „clochards", rezydujących pod mostami, wchodzących w skład swoistego folkloru stolicy, ostatnio będących nawet w modzie. W salonach delektowano się na przykład powieścią Jean-Paul Clébert, autentycznego włóczęgi, p. t. „Paris insolite", otaczającą świat spod mostów aureolą romantyzmu. Ten romantyzm cudzym kosztem w połączeniu z oschłością, egoizmem i wstrętem, bardzo mieszczańskim, do „wykolejeńców" (mimo upajania się „niesamowitym Paryżem"), pozwoliłby na pewno spać stolicy spokojnie dalej. Tymczasem z dnia na dzień mosty przestały być zacisznym legowiskiem, a o miejsce na kratach zamykających wyloty metra, skąd dochodziło nieco ciepła, zaczęły toczyć się walki na śmierć i życie. Śmierć zaczęła tropić ludzi po opustoszałych ulicach miasta, jak w lesie.

Wtedy rozległ się krzyk księdza Piotra, alarmujący sumienia. Na

na Gaumont sześć tysięcy ludzi zbiegło się dla niego i tak było na każdej z licznych konferencji, jakich udzielił. Ksiądz Piotr, jak na nowoczesnego apostoła miłosierdzia przystało, nie gardzi możliwościami, jakie dają radio i prasa.

Kim jest ksiądz Piotr? W berecie, w czarnej pelerynie, z nieodstępną laską, ma brodatą twarz pielgrzyma i konkretny, praktyczny sposób mówienia człowieka czynu. Nie stara się zmiękczyć zgromadzonych abstrakcyjnymi apelami, nie prosi, nie żebrze. Abbé Piotr żąda, abbé Piotr gromi bogaty, zasklepiony w sobie Paryż, abbé Piotr rzuca mu w twarz tę nędzę ludzką, za którą każdy z osobna i wszyscy razem są odpowiedzialni. Wśród śpiących pod mostami i zamarzających na śmierć w „wozach Drzymały" na przedmieściu marzną nie tylko nieuleczalni włóczędzy czy przestępcy, a i ci są ludźmi. Kryzys mieszkaniowy Francji jest ogromny, a przytem całe piętra domów zamieniono na rupieciarnie raczej, niż żeby miały stać się ogniskiem, chociażby przejściowym, dla jakiejś rodziny bez dachu nad głową. Tych pustych „chambres de bonne" na ostatnim piętrze domaga się ksiądz Piotr dla swoich bezdomnych — i słuchają go. Domaga się nowych osiedli, nowych domów,. Za fundusze, jakie na jego ręce spłynęły z całej Francji, rozpoczęto już budowę.

Co jest najbardziej charakterystyczne w tej akcji na ogromną doprawdy skalę, to jej charakter zupełnie prywatny, spontaniczny. Rząd, władze kompetentne pozostały poza nawiasem, okazały tylko dobrą wolę, żadnej inicjatywy. Kiedy gazety ogłosiły, że premier rządu, Laniel, bardzo bogaty człowiek, wypisał księdzu czek na kilkadziesiąt tysięcy franków, żeby, jak się wyraził, nie pozostać na końcu, ironicznych i gorzkich komentarzy nie brakło. Istotnie ci, co powinni prowadzić, starali się jedynie, by nie być na końcu, zaś przewodnictwo ujęli ludzie nieznani, ludzie dobrej woli, z księdzem Piotrem i jego „towarzyszami z

jeden z departamentów na Zgromadzeniu Narodowym. Już wtedy zaczyna „podwójne życie". Deputowany w dzień, wieczorem wraca na przedmieścia, gdzie wynajęty przez niego dom skupia w sobie coraz więcej ludzkiej biedy. Dom jest duży, ale zrujnowany. Pierwsi lokatorzy, to i pierwsi murarze i pierwsi „towarzysze z Emmaus" zarazem. Takie przybrali miano. Dom księdza Piotra jest przystanią dla wszystkich potrzebujących, włóczęgów, rodzin wyrzuconych z mieszkania, pozbawionych pracy. Wszyscy żyją z jego pensji parlamentarnej, przebudowują i rozszerzają własnymi rękami dom, zarodek wspólnoty z Emmaus. Obok wyrastają prowizoryczne baraki i zaludniają się.

Kiedy się kończą pieniądze, ksiądz Piotr nie waha się zebrać. Ale towarzysze z Emmaus wolą pracę. Towarzysze księdza Piotra stają się gałganiarzami. Co świt ich grupa wyrusza z księdzem na czele na inspekcję odpadków miejskich. Stare gazety, szkło, żelastwo, posegregowane odpowiednio, przy racjonalnej organizacji pracy nie tylko że utrzymują małą grupkę, ale i pozwalają na powolne budowanie.

Gdzieś pomiędzy corannymi inspekcjami śmietników mieści się powtórzony teraz przez wszystkie gazety epizod z życia księdza Piotra, przyczynek do Złotej o nim Legendy: udział w konkursie zagadek w czasie jednego z przedstawień cyrkowych, na którym wygrał dla Emmaus ćwierć miliona franków. W przeliczeniu na puste butelki po wodzie mineralnej musiał to być dla nich zupełnie sensacyjny uśmiech fortuny. Ale cenniejszą od tych pieniędzy była z pewnością dla księdza Piotra związana z wygraną sposobność przemawiania do mikrofonu przez siedem minut (konkurs był nadawany przez radio). Siedem minut wołał ksiądz Piotr o swoich bezdomnych. Nikt tego S.O.S. nie usłyszał.

Dopiero w styczniu tego roku śmierć staje się jego tragicznym agentem reklamowym. W jednym ze starych au-

by się dorwać na siedem minut do mikrofonu. Cała Francja, jej prasa, radio, telewizja są do dyspozycji księdza Piotra.

Mrozy minęły, ale ksiądz Piotr nie zasypia ognia w popiele. Czyż trzy tysiące bezdomnych, zebranych na ulicy i uratowanych przed śmiercią, ma znowu trafić pod mosty dlatego, że termometr podniósł się o parę kresek? W swój prosty, jędrny sposób nowoczesny „apostoł nędzarzy" tak w jednej z konferencji ujmuje bilans lutowego pogotowia:

„Według ostatnich obliczeń można ocenić na miliard franków sumy zaofiarowane przez całą Francję jednomyślnie na osiedla nagłej potrzeby, aby w naszej epoce, w cywilizowanym kraju, dzieci nie umierały z zimna albo brudu. Jeden miliard, zebrany bez gwarancji, nie na żaden procent, na ręce paru prywatnych osób, wczoraj jeszcze całkiem nieznanych!"

Na mocy całkiem formalnego zobowiązania się przez ministra, gałganiarze z Emmaus będą mieli możność kontroli nad nową pożyczką, która ma być rozpisana. „Kontrola będzie surowa, możecie mi wierzyć, tak przy wpływach jak i przy wydatkach" — zapewnia ksiądz. — „Jeżeli siłą naszych 250 towarzyszy jest niewinność, to jednak grzebanie w śmietnikach dodaje im sprytu...", żeby nie było przypadkiem mowy o jakichś fikcyjnych przelewach czy też zapychaniu dziur w budżecie sumami przeznaczonymi na osiedla pierwszej potrzeby.

Wspominając o innej stronie problemu, o śpiących pod gołym niebem, ksiądz Piotr niepokoi się, żeby miłosierdzie nie stopniało wraz ze śniegiem. Merostwa, stacje metra, komisariaty zamykają jedne po drugich swe bramy. „Czyżby wielu uczyniło ten gest tylko dla lepszego samopoczucia? Mrozy minęły, ale trzy tysiące bezdomnych pozostało i znów są na ulicy. Myśmy pokazali drogę, choć nie jesteśmy ani towarzystwem dobroczynnym, ani biurem opieki społecznej —

JÓZEF ŁOBODOWSKI

KASYDA ELEGIJNA

Karawana uchodźców rozciągnięta na gościńcu,
mrok i plucha — oto obraz zwyczajny.

Domy i ogrody, zniszczone przez barbarzyńców,
śmierć Fatmy i hańba Sulajmy.

Gdzieżeście, czasy wielkich Ommajadów,
gdzie miecz,
którym się przepasywał Abd al-Rahman?

Chwała kalifów zniknęła bez śladu
i rządzi uzurpator i szachraj.

Tyle miast, które wróg okrutny zniszczył,
tyle ludzi wymordowanych!

Noc przechodzi wśród popiołów i zgliszczy,
przesłaniając zaropiałe rany.

I próżno do białego czekać rana,
nie doleci do celu strzała myśli tępa,
gdy serca są w łachmanach,
gdy sumienia w strzępach!

Gdy lęk odbiera dłoniom prawowiernych
moc, która sztandar wznosiła Proroka;

gdy mchem i pleśnią zarosły cysterny,
a tłumy tchórzy poznajesz po krokach;

gdy rdza na toledańskim zjawia się żelezie
i próchno zżera trzciny fletów;

gdy do lochów rzucono kadich, a muezzin
boi się chwałę Bożą głosić z minaretu.

Gdy na próżno uciekinierzy,
że w innych królestwach lud przed nimi się wzbrania,
prawdę usiłują szerzyć
o krwawych prześladowaniach;

a chociaż nikt im nie przeczy,
żaden z władców, emirów ni imamów
nie podniesie sztandaru ku odsieczy
konającego za miedzą Islamu.

Studnia krzywdy wypełniona po brzegi,
zguba w astrologicznych wypisana znakach.

I tylko goryczą bezsilnych elegij
zarastają usta śpiewaka

Józef Łobodowski

GUARESCHI CONTRA DE GASPERI

Od kilku tygodni na łamach prasy oskiej toczy się sensacyjna batalia iędzy przywódcą stronnictwa Chrześijańskiej Demokracji we Włoszech, cide de Gasperim a redaktorem tygnika satyryczno-politycznego „Cando", słynnym pisarzem Giovanni uareschim.

Guareschi opublikował w „Candido" csimile listu, który de Gasperi miał słać dnia 19 lutego 1944 do kwatery ojsk sprzymierzonych w Salerno, wywając ich do bombardowania oektów wojskowych na przedmieach Rzymu oraz wodociągu rzymiego, celem wywołania buntu ludści przeciwko Niemcom i faszystom. List napisany został na papierze liowym „Sekretariatu Stanu Jego ątobliwości". Publikując ów rzekodokument Guareschi w ostrych wach napiętnował de Gasperiego o polityka, nazywając go przezwiem „cecchino" (jest to pogardliwa zwa na Austriaków, ale może mieć wnież takie mniej więcej znaczenie, nasz „Wasserpolak").

Po ogłoszeniu tego listu wybuchła awa. Wydawca „Candido", firma zoli w Mediolanie, oświadczyła, iż bierze odpowiedzialności za wystąnie Guareschiego. Pisma Chrześciskiej Demokracji ogłosiły oświadczenie agencji A.N.S.A. stwierdzające, iż list opublikowany w „Candido" jest fałszerstwem i że de Gasperi występuje na drogę sądową przeciw redaktorowi tygodnika o zniesławienie. Bardzo gwałtownie wystąpił również „Osservatore Romano" stwierdzając, iż rzekomy dokument jest fałszerstwem, jakie już wielokrotnie popełniano. Ojciec św. nazwany został przez Włochów „Defensor Civitatis", gdyż Jemu przede wszystkim Rzym zawdzięcza swoje ocalenie od zniszczenia przez bombardowanie.

Prasa chrześcijańskich demokratów wszczęła ostrą kampanię przeciw Guareschiemu dowodząc, iż „nie jest on wcale katolikiem".

Guareschi w sposób spokojny i rzeczowy polemizuje zarówno z pismami Ch. Demokracji, jak i z „Osservatore Romano". Stwierdził przede wszystkim, iż nie miał najmniejszego zamiaru mieszać w całą tę sprawę autorytetu Stolicy Apostolskiej. De Gasperi był w czasie wojny bibliotekarzem w Watykanie i mógł mieć dostęp do papierów listowych Sekretariatu Stanu, z czego wcale nie wynika, by Sekretariat Stanu miał żyrować wystąpienie de Gasperiego. Przeciwnie, de Gasperi nadużył autorytetu Stolicy Apostolskiej, chcąc wobec aliantów wystąpić w roli polityka faworyzowanego przez Watykan.

Guareschi pragnie zdemaskować przywódcę włoskich chrześcijańskich demokratów jako „polityka bez skrupułów" i nic więcej. De Gasperiego określa on jako polityka „wojny domowej". Na miano „cecchino" zasłużył sobie de Gasperi, ponieważ w swych mowach politycznych często nazywał sam siebie „Trentino", Trentyńczykiem, który się poświęcił sprawie Włoch.

Proces wykaże, czy opublikowany przez Guareschiego dokument jest autentyczny, ale nie wydaje się, aby redaktora „Candido" można posądzać o świadome posługiwanie się fałszerstwem. A już najmniej celowe jest wiązanie partii politycznej, choćby i katolickiej, z Głową Kościoła katolickiego.

N O W O Ś Ć
PAPIEŻ MÓWI:
DUCH LUDZKI POZNAJE WSZECHŚWIAT
(1. 9. 1952)
Przemówienie do astronomów
Zeszyt 6-ty serii 3-ej
DOKUMENTÓW NAUKI KOŚCIOŁA
Cena 1/-, z przesyłką 1/3
VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W.2

przedanego) zbioru nowel i opowiadań „Po Narviku był Tobruk". **W takim razie praca ośmiu lat życia poszłaby na marne.** Z drugiej strony nie mogę od żadnego wydawcy wymagać, aby sfinansował wydanie książki jeszcze w pełni nie ukończonej. Wobec tego **nie widzę innego wyjścia, jak zwrócić się z apelem do Was, Drogie Czytelniczki i Czytelnicy: pozwólcie mi skończyć „S ł o w o o B i t w i e" i WYDAJCIE JE DLA SIEBIE.**

Na ukończenie tekstu powieści potrzebuję paru miesięcy względnego spokoju. Obliczyłem, że **uzyskanie 600 subskrybentów na „S ł o w o o b i t w i e" umożliwiłoby** mi jego skończenie i wydrukowanie książki. Powieść wyjdzie WASZYM NAKŁADEM, Drodzy Czytelnicy. Nazwisko każdego, kto w ciągu najbliższych dwóch miesięcy wpłaci 13 szyl. 6 d. (we Francji 675 fr., w USA i w Kanadzie 2 dol.) za egzemplarz powieści, będzie wydrukowane w książce jako nazwisko jednego z nakładców. **Każdy subskrybent otrzyma książkę numerowaną i z moim własnoręcznym podpisem, a b. żołnierze SBSK z osobistą dedykacją.** Po zamknięciu przedpłaty i wydaniu książki (to jest mniej więcej po 4-5 miesiącach) cena egzemplarza wynosić będzie 17/6 (względnie 875 fr. i 2.50 dol.). Instytucje, Biblioteki, Kolegów Karpatczyków i wszystkich miłośników mojej prozy — oczywiście tych, którzy mogą sobie na to pozwolić — proszę o zamawianie większej ilości egzemplarzy, **gdyż uzyskanie przedpłaty na 1000 egzemplarzy** (co wydaje mi się całkiem możliwe) **zapewniłoby** mi nie tylko skończenie i wydanie „S ł o w a o b i t w i e", ale — mam nadzieję — także **napisanie trzeciej części trylogii warszawskiej p.t. „Samotne miasto"** (powieść o Powstaniu Warszawskim).

Wpłaty należy kierować na adres: **J. Poray-Biernacki, 47, Earls Court Road, London, W. 8, England**, a we Francji na adres: **J. Giedroyć, Kultura, 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise) France,** — z zaznaczeniem, że jest to wpłata na „S ł o w o o b i t w i e".

I jeszcze jedno, Drogie Czytelniczki i Czytelnicy: pamiętajcie o przysłowiu: **„kto szybko daje, dwa razy daje".**

JANUSZ JASIEŃCZYK

Londyn, w marcu 1954 r.

P.S. **Wszystkie pisma polskie proszone są o przedruk tego apelu. Tytuły czasopism, które pomogą mi w tej akcji, figurować będą w książce na równi z nazwiskami nakładców.**

---

*) Fragmenty „S ł o w a o b i t w i e" były drukowane: w KULTURZE: „Półuśmiech zażenowania" (nr 9/10); w WIADOMOŚCIACH: „Klęczący trup" (nr 28), „Darski zdobywa Rygle" (nr 98), „Straty! Na wojnie muszą być straty" (nr 133), „Major Kopuć na Ryglach" (nr 155/156), „Na moją komendę! Marsz!" (nr 166), „Gwiazda Popularna" (nr 167), „Przekorna śmierć Baratty" (nr 198); w ŻYCIU: „Moja wina, moja wina" (nr 94); w ORLE BIAŁYM: „Bylicki potknął się nagle" (5.2.1949); w kwartalniku londyńskim CO CZYTAĆ: „Mechel idzie z patrolem" (nr 2, 1950); w tygodniku W DRODZE (Jerozolima): „Strach" (1.1.1945 — pierwszy drukowany fragment); w GAZECIE POLSKIEJ Jerozolima): „Na punkcie obserwacyjnym" (16.12.1945); w JUNAKU (Śr. Wschód): „Są lekarze. Leutnant Ruedel odjeżdża (nr styczniowy 1945). Wyróżniony przez Radio Free Europe fragment nosi tytuł: „Biała-biała-biała —czerwona-czerwona".

**) Oto kilka wyjątków z krytyk dra Wita Tarnawskiego, zamieszczonych w „Orle Białym" (nr 1/2 z 1949) i w „Co Czytać" (nr 2, 1950): „...studium o psychologicznej istocie bitwy. (Jasieńczyk) łączy wrażliwość na szczegóły z pasją ogarnięcia i zrozumienia całości — rzecz u autorów polskich nieczęsta... obrał właściwą drogę dla swego pisarskiego talentu („Słowo o bitwie") stoi na wysokim poziomie artystycznym i myślowym... Jeśli całość utworu dorówna do poziomu tego doskonałego fragmentu („Przekorna śmierć Baratty"), kto wie, czy wkrótce nie będziemy mogli czytać istotnie najlepszej powieści, stworzonej na emigracji".

Prof. Stanisław Stroński, wręczając Jasieńczykowi nagrodę „Veritasu", powiedział m. in. (patrz „Życie" nr 259, 1952) „...wrażenie ruchu przy czytaniu Jasieńczyka płynie nie tylko z toku powieści, ale także z ciągłego rozwoju jego własnego sposobu pisania, pomysłowości, szukania wyrazistości".

Krytyk literacki Jan Bielatowicz pisał w „Życiu" (nr 221 z 1951): „(Jasieńczyk) jest jednym z trzech, czy czterech nowych prozaików poza Krajem, którzy prostą ścieżką dostali się na polski Parnas".

kaźna wzbudza podziw swoim ogromem. Można się dziwić i słusznie, skąd jeden człowiek brał tyle czasu na pracę naukową, skoro musiał poświęcać wiele czasu i na wykłady uniwersyteckie i na działalność bibliotekarską związaną z jego funkcją dyrektora biblioteki sejmowej i na życie rodzinne i wreszcie na służenie radą i pomocą tym wszystkim, którzy się do niego zwracali.

W początkowej fazie swej działalności naukowej zajmował się najwięcej literaturą bułgarską. Z Bułgarią był związany, bo wykładał na uniwersytecie w Sofii, był współredaktorem pisma literackiego „Bulgaria", a największą jego pracą, powstałą w wyniku długoletnich doświadczeń w dziedzinie pedagogicznej jest podręcznik uniwersytecki „Corso di lingua bulgara" przeznaczony dla młodzieży włoskiej. Jest to podręcznik jedyny w swoim rodzaju, wzór do nauczania języka obcego dla ludzi dorosłych, a przede wszystkim dla młodzieży uniwersyteckiej. Autor w swojej metodzie oprócz zdobyczy pedagogicznych po-

przyczynił się do tego właśnie Enrico Damiani. Wychował sporo młodych slawistów, którzy dziś biorą udział w życiu kulturalnym Włoch. Zachęcał do studiów, pomagał radą, wskazywał źródła, służył swoją prywatną biblioteką.

Na zainteresowanie się przedmiotem wpływa, co jest jednym z podstawowych kanonów w nauczaniu, stosunek nauczającego czy choćby tylko wykładającego do przedmiotu. Otóż Damiani jako profesor był idealny. Bił z niego jakiś młodzieńczy zapał, a jego bezpośredniość, prostota, jego życzliwość usuwały wszelki dystans między słuchaczem i tworzyły mu z niego przyjaciela. Podczas wykładów lubił wtrącać jakiś żart, nigdy sarkastyczny, który bawił i uczył. Wielu ze studentów zapisywało się na jego wykłady z szacunku dla jego osoby. Jeśli szukąlibyśmy porównań na gruncie Polski, to najbardziej zbliżonym odpowiednikiem Damianiego byłby Ignacy Chrzanowski, zmarły w obozie niemieckim.

On pierwszy zaczął ją rozpowszechniać na szerszą skalę. A biły z jego pracy życzliwość, spontaniczność i umiłowanie naszego kraju. Nie wszyscy uczeni mają tę właściwość. Są tacy, którzy mogą znać dobrze jakiś kraj i jego dzieje, ale go nie kochać.

Bardzo bogato przedstawia się dział tłumaczeń E. Damianiego. Tłumaczył naszych autorów ze wszystkich epok, odkąd datuje się nasza literatura piękna w pełnym tego słowa znaczeniu. A więc J. Kochanowskiego (Treny), Sz. Szymonowicza (Sielanki), P. Skargę (Drugie kazanie sejmowe), A. Morsztyna, I. Krasickiego (Bajki), A. Mickiewicza (Sonety krymskie, Farys, Świteź, Pomnik Piotra Wielkiego z Dziadów cz. III), Z. Krasińskiego, J. Słowackiego (Godzina myśli), H. Sienkiewicza (Stary sługa, Hania, Latarnik, Janko muzykant, Wyrok Zeusa), B. Prusa (Antek, Katarzynka), Wł. Reymonta, Żeromskiego. Z późniejszych i współczesnych tłumaczył M. Pawlikowskiego, W. Orkana, W. Sieroszewskiego, K. Tetmajera, Dygasińskiego,

Jeśli mowa o zainteresowaniach Damianiego literaturą polską, nie można pominąć milczeniem prac, których nie zdołał wykończyć. Przygotowywał bowiem antologię literatury polskiej w tłumaczeniu na język włoski, miał pewne prace gotowe, opracował również gramatykę języka włoskiego dla Polaków, lecz jej nie wydał.

Ktoś, kto będzie szerzej omawiał jego działalność naukową nie może pominąć również i bibliografii i literatury włoskiej, którymi się zajmował. To oddzielna gałąź.

Na osobną wzmiankę zasługuje Damiani jako człowiek. Mimo wytężonej pracy naukowej znajdował czas na życie towarzyskie zawsze w swoim gronie, był wesołym druhem, lubił żartować, unikał wówczas rozmowy na tematy poważne. Pasjonowały go wycieczki. Dom jego stał zawsze otwarty dla wszystkich, którzy szukali u niego zrozumienia i pomocy, bo profesor ułatwiał wielu osobom znalezienie zajęcia. Miał przyjaciół nie tylko w najbliższym otoczeniu, nie tylko

ód swojego narodu, ale miał ich nież w każdym kraju słowiańskim, wiecie literackim i naukowym.

dzisiejszym życiu, w epoce roziętego nacjonalizmu, walk ustrojoh i politycznych, jego duch, który osił się ponad wszystkie zacietrzeia, był jakby uosobieniem kultury rodu, tej kultury, z której wyrośli, a która przechodzi ostatnio tyle ząsów. W jego otoczeniu nikły wszelkie spory polityczne, narodowe i inne, biła od niego miłość do człowieka. Można by powiedzieć, że w życiu kierował się zasadą, którą głosił u nas Żeromski, że „miłość należy siać między ludźmi jak złote zboże"...

Pośrednim powodem śmierci Damianiego była utrata jego syna. Zginął on przed kilku laty w wycieczce wysokogórskiej, w Alpach. Od śmierci syna nie wrócił Damiani do poprzedniej równowagi duchowej, więc, by zabić ból, szukał zapomnienia w pracy. W pogrzebie Damianiego uczestniczyły tłumy ludzi, co było wyrazem popularności, jaką się cieszył. Na cmentarzu, na Vomero, grób jego pokryły obszerne wieńce, a wśród nich znajdował się i skromny biało-czerwony wieniec emigracji polskiej. Między osobami, które go odprowadziły na wieczny spoczynek była również i grupka młodzieży z Instytutu Orientalnego w Neapolu, do którego profesor tak był przywiązany.

W Damianim tracimy jednego z największych orędowników kultury polskiej wśród obcych.

S. A. Piekut

J. A. MARYAŃSKI

Tragizm książki polskiej

Krajowy tygodnik związku literatów „Nowa Kultura“ opublikował przed paru tygodniami jeden z typowych dziś, niestety, kwiatków „twórczości literackiej“ w sowieckiej niewoli: list do redakcji — donos. Autor, 11-to-klasista Liceum dla Pracujących w Tczewie, spełniając zapewne powinność aktywisty partyjnego, denuncjuje publicznie swych kolegów, szeroko rozwodząc się nad ich negatywnym stosunkiem do zalecanej przez program szkoły lektury. Pisze, że młodzież z wyraźną niechęcią odnosi się do współczesnych dzieł literatury. Z wyjątkiem donosiciela nikt nie bierze do ręki skarbów przodującej twórczości radzieckiej czy domowego chowu socrealnych płodów, produkowanych na zamówienie. Koledzy i koleżanki stroskanego „przodującego polonisty“ uciekają od współczesnej literatury ku lekturze utworów o małej czy wręcz żadnej wartości. Jako przykład takiej ucieczki podaje „Trędowatą“ Mniszkówny, w której kocha się cała klasa. Nie pomagają perswazje aktywisty, który idzie tak dalece na taktyczne ustępstwo wobec współkolegów, że w miejsce programowej lektury podsuwa „neutralnych“ (jak sam to określa) autorów: Axela Munthe, Romain Rollanda czy Żeromskiego. Groch o ścianę — koledzy nie wierzą mu, nie ufają. Znają prawdziwe zainteresowania aktywisty, według którego robotnik powinien się kochać w przodownicy, a w najlepszym razie w członkini spółdzielni produkcyjnej, którego zasadniczą strawą duchową są książki o rewolucji i proletariacie. Bezskuteczne są jego wysiłki, by nauczyć „kolektyw klasy“ odróżniania książki złej od dobrej. Ba, zdaniem jego, nawet autorytet nauczyciela nie wystarcza do wpojenia socjalistycznej definicji książki „dobrej“. Dlatego też donosiciel apeluje o pomoc do swych mocodawców, UB-owców wydzielonych do referatu literatury. Sprawa jest pilna, bo donosiciel „nie łudzi się i myśli“, że takie samo stanowisko, jak jego koledzy, zajmuje znacznie więcej młodzieży.

Obrazek niewątpliwie smutny. Nie tylko zresztą ze względu na formę, w jakiej został podany. Donos tzw. „korespondenta terenowego“ radzieckim wzorem należy dziś do zjawisk w Kraju powszednich. Przykład liceum w Tczewie odsłania również coś więcej: jedną z ponurych stron życia i rozwoju młodzieży w Kraju: **katastrofę braku kierownictwa duchowego**, w prawdziwie polskim tego rozumieniu. Młodzież wiedziona zdrowym, narodowym instynktem samoobrony odwraca się z obrzydzeniem od książki, której celem jest wlać w młodą duszę jad nienawiści do przeszłości Polski, skłócić warstwy narodu, by je potem wygrać w walce między sobą, która zohydza wszystko, co z prawdziwie chrześcijańskiego i polskiego płynie ducha, która natomiast ma zadanie uczyć miłości ku wzorom „nowego porządku“. Otrzymia większość pedagogów z celem największym spełnia dziś funkcje wychowawców i realizatorów komunistycznego programu wynarodowienia młodego pokolenia. Wielu z nich na pewno sabotuje ten program w granicach szczupłych możliwości, jakie istnieją w państwie opartym na działalności szpicla i donosiciela.

Ten bierny opór nauczyciela naturalnie nie wystarcza. **Młodemu człowiekowi trzeba czegoś więcej — trzeba konkretnej, jasnej, przekonywującej wskazówki, rady i zalecenia: c o c z y t a ć**, by choć w pewnym stopniu zneutralizować działanie jadu. Z wielu względów nie daje tej wskazówki nie tylko wychowawca, ale i dom rodzinny, przytłoczony ponad siły walką o wiązanie końca z końcem. Skutek jest taki, że młody człowiek, odrzucając nakazaną literaturę, sięga na ślepo, po omacku, po linii najmniejszego oporu po rzeczy niewartościowe. Traci na taką literaturę cenny czas, korzyści nie odnosząc żadnej. Wiadomo, czym jest pojęcie ekonomii czasu, pozostawionego do osobistego rozporządzenia człowiekowi w spętanym Kraju. Zagadnienie „straty czasu“ jest specjalnie ważne w odniesieniu do młodzieży.

* * *

Kwestia odpowiedniej lektury dla młodego człowieka w Kraju łączy się ściśle z całością zagadnienia książki, polskiej z ducha i tendencji. Książce tej, jak wiadomo, reżym okupacyjny wypowiedział bezpardonową walkę. Program jej likwidacji przeprowadza planowo, z zastosowaniem całego arsenału chytrych, oszukańczych, zakłamanych metod. Dwie z nich pragnę tu omówić.

Jedna — to chwilowe „uznanie“ książki, ba, nawet jej propagowanie. Hitleryzm załatwiał sprawę po swojemu — gorejącymi stosami znaczył szał obłędnej nienawiści do innych, niż jego własna, ideologii. O ileż „wytrawniejszą“ jest metoda komunistycznego najeźdźcy! Ten, w pierwszym przynajmniej etapie, stara się naciągnąć założenia ideologiczne dzieła do własnych potrzeb, używając przelicznych spekulatywnych sztuczek, narzuca mu własną interpretację. Przy takiej taktyce „dobrej woli“ niemal wszyscy wielcy polskiej literatury, z Mickiewiczem, Sienkiewiczem, Żeromskim, Prusem, Orzeszkową na czele, uzyskali komunistyczne „placet“ i „imprimatur“. Dzieła ich ukazują się w setkach tysięcy nakładu. Sienkiewicz, ten zdawałoby się rasowy „reakcjonista“, pobił nawet wszystkie rekordy wydawnicze: osiągnął zawrotną cyfrę około półtora miliona egzemplarzy nakładu! Oczywiście nie dzieje się to — za darmo. Każdy z luminarzy polskiej literatury ma do spełnienia przypisaną, konkretną rolę. Tak więc Mickiewicz, to „trybun ludowy“, pionier rewolucji; Żeromski czy Orzeszkowa to przodujący radykałowie społeczni — a Sienkiewicz to niemal ideolog „Frontu Narodowego“.

Wiele analogii z sowieckiej taktyki wskazuje na to, iż koniunktura szczytów naszej literatury jest dyktowana potrzebą chwili, chytrością, która nie pozwala zrażać ogółu zbyt drastycznymi pociągnięciami a wreszcie niemożnością zapełnienia pustki, jaka by powstała przy zbyt radykalnych posunięciach.

W licznych dziedzinach zsocjalizowanego życia dzieje się tak, jak uczy historia lat ubiegłych, że to, co było tolerowane do czasu, czy nawet zalecane, staje się wrogiem reżymu, idzie na komunistyczny indeks. Tak jest w życiu gospodarczym, tak w muzyce, sztuce, tak w sporcie, tak jest i z ludźmi, których oszołamiające kariery nikną, jak meteory. Tak jest i w literaturze.

Komunistyczny indeks — to druga metoda. Tę zastosowano w Kraju już w pierwszych latach okupacji w stosunku do najgroźniejszych przeciwników, do ludzi żywych, twórców, którzy znaleźli się poza Krajem, w obozie „emigracyjnych zdrajców“. Zdyskwalifikowano ich radykalnie, gdyż twórczość ich stanowi wciąż aktualne niebezpieczeństwo. Wykreślono wreszcie w tej indeksowej akcji wszystko, co mówiło o niezależnej polskiej myśli politycznej, przede wszystkim zaś to, co było z ducha polskie, narodowe, chrześcijańskie.

Na swój swoisty sposób Kraj z tym indeksem walczył i na pewno walczy do dziś. Książka, ta zakazana, zeszła w sui generis konspirację. Od prywatnego posiadacza wędruje z rąk do rąk w gronie zaufanych osób.

Oto charakterystyczny przykład z mej własnej praktyki.

Był rok 1949. Wertując katalog pewnej nieupaństwowionej jeszcze w pożyczalni spostrzegłem, że niektó dzieła wykreślone są pociągnięcie ołówka, tak jednak, że i autor i tyt doskonale były czytelne. Jedną z t kich pozycji była powieść Roma Dmowskiego „Dziedzictwo“, wyda pod pseudonimem K. Wybranows Korzystając z tego, że w wypożycz ni zrobiło się luźniej, postanowiłe sprawdzić wyniki akcji „oczyszcza cej“. Podszedłem z katalogiem do bliotekarza z prośbą o tę właś książkę. Znał mnie z widzenia od da na, więc też zniżywszy tylko głos pytał, czy wiem kto jest jej autore Potwierdziłem, nie wymieniając n wet nazwiska Dmowskiego. Porozum liśmy się spojrzeniem. Biblioteka oświadczył, że wprawdzie książka na zarządzenie wydziału kultury stała „zniszczona“, ale on mi ju przyniesie z domu „inny“ egzem larz. Przekazał mi ją nazajutrz z chowaniem całej procedury konspi cyjnej: starannie owiniętą w papi bez słowa... Tak się przejmowało rąk kuriera meldunek czy plik p ziemnej prasy. Wyszeptał tylko, b możliwie rychło zwrócił, bo na ksi kę czekają inni. Przykład na pew nie odosobniony.

Opisana wyżej konspiracyjna metoda kursowania książki zakazanej stosowana być może z powodzeniem przez stosunkowo nieznaczną część czytelników, przez tych głównie, dla których książka to stary przyjaciel, którzy dysponują odpowiednią dozą doświadczenia, którzy potrafią sobie sami radzić i pokonywać przeszkody.

Młody człowiek natomiast, któremu danym jest dorastać i rozwijać się w ramach obecnej smutnej rzeczywistości w Kraju, zdany jest najczęściej na błądzenie po manowcach w szukaniu strawy umysłowej i duchowej. Jak najczęściej wygląda jego ucieczka od współczesnej, odpychającej go literatury — widzieliśmy na przykładzie młodzieży z Tczewa.

Warunki w Kraju są takie, iż trudno się łudzić, by Kraj sam mógł temu zaradzić. Cytowany donosiciel stwierdza brak kierownictwa ze strony pedagogów, bo „wiadomo, polonista albo nie ma czasu albo powie, żeby mu głowy nie zawracać, bo i tak ma masę roboty“. To tylko część prawdy. Tak, nauczyciel jest przepracowany. Jest też — o czym donosiciel milczy — pod stałym terrorem. Przed paru dniami prof. Marek Korowicz, obejmując katedrę uniwersytecką w stanie Massachussets, z bólem ogromnym tak ujął sytuację pedagogów w Polsce: słowa ich kłamać muszą własnym myślom!

I dlatego na tym, tak niezmiernie ważnym odcinku narodowego życia, **Krajowi z pomocą przyjść musi — emigracja**.

Zadanie kierowania wychowaniem młodego pokolenia w Kraju da się w pewnej, ważnej bardzo, części zrealizować za pomocą sposobu nie znającego granicznych kordonów i wszelkich kurtyn — **za pomocą radia!**

Do tej pory, niestety, w audycjach tak licznych radiostacji, mających nieść Krajowi prawdę, nawet w audycjach specjalnie przeznaczonych dla młodzieży, na ten tak zasadniczy temat nie zwraca się dostatecznie uwagi. Może przyczyna niewykorzystywania tych kolosalnych możliwości tkwi w tym, że co radiostacja — to inny pan, że brak jakiegoś polskiego ośrodka, który by miał głos decydujący przy ustalaniu programów, który by potrafił narzucić — nie sądzę, by było to zbyt trudnym — tym wszystkim, polskimi się mieniącym radiostacjom, konkretny, jednolity, głęboko przemyślany **plan pracy nad wychowaniem młodzieży w Kraju**, program bieżącego naprawiania szkód, wyrządzanych młodym duszom i umysłom. To wcale nie wystarczy, jak się to praktykuje, rzucić od czasu do czasu jakieś nazwisko sowieckie czy reżymowe i przeciwstawić mu polskie. Trzeba wysiłku systematycznego, ciągłego i gruntownego. **Nie będzie dla radia ujmą, jeśli stanie się w pewnym sensie szkołą polską!** Koniecznym jest dla młodzieży w Kraju żywy, starannie dobrany, interesująco podany kurs literatury ojczystej. Nie w paruminutowych dawkach, ale w potężnych porcjach, które stanowić będą lwią część programów. Trzeba stale apelować do skołatanych rodziców, by nad akcją tą roztoczyli swą opiekę, z uwzględnieniem całego kompleksu przeszkód i trudności.

Za dużo miejsca poświęcają wolne radiostacje wszelkiego rodzaju płytkiej propagandzie. Tymczasem Kraj, karmiony tą propagandą od lat niemal 15, nie tylko traci do niej zaufanie, ale i — rzecz całkiem zrozumiała — zaczyna jej mieć dość. Hasła „nie dajmy się, wytrwajmy, opierajmy się“ będą miały wtedy istotny sens, jeżeli będą trafiały do ludzi, którzy świadomi są konieczności tego wytrwania. Nie wolno ani na moment zapominać o tym, że dorasta w Polsce kilkanaście roczników młodych ludzi, którzy pozbawieni zostali siłą brutalnych wydarzeń dobrodziejstwa normalnego wychowania narodowego. Skoro zaś istnieją stosunkowo bardzo wielkie możliwości wyrównania choć w części strat ponoszonych przez naród polski na odcinku wychowania młodzieży, przeto tym większe jest do spełnienia zadanie polskiej emigracji politycznej. **Tym większa jej wobec Kraju odpowiedzialność.**

Pewne smutne przykłady świadczą nie tylko o braku programu na tym odcinku, ale i o braku poczucia odpowiedzialności.

Zachód słusznie chlubi się swobodą wypowiadania własnych myśli i poglądów. Taką swobodą, według własnych zapewnień, cieszą się i wolne radiostacje.

Nikomu też na Zachodzie specjalnie nie szkodzi — co najwyżej drażni — gdy krewki pisarz na łamach literackiego tygodnika z pasją stara się po-

„KATOLICY REŻYMOWI“ PROPAGUJĄ KOMUNIZM

Powoli odsłaniają się kulisy celów nowej organizacji katolików reżymowych, która — na polecenie komunistycznego rządu — została utworzona przed kilkoma miesiącami pod nazwą „Ogólnokrajowa Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Głównym Komitecie Frontu Narodowego“. Prawie bez przerwy odbywają się zebrania zarówno zarządu tej Ko- — jest zmobilizowanie wszystkich katolików do świadomego współbudowania Państwa Ludowego w ramach Frontu Narodowego. Komisje będą się rozrastać dzięki potężnemu wkładowi katolicyzmu we Froncie Narodowym. Winny one wykazać, że światopogląd katolicki, który nie przesądza związków z dawnym ustrojem, posiada olbrzymią siłę inspirowania aktywności Po-

PRZEGLĄD LITERATURY P[...]

KRASICKI, Ignacy. Nr 1 „...
poświęcony jest w całości księciu
m.i.: Tad. Mikulski: „Gość w H...
w dawnej jego rezydencji) i „A...
Górski: „Ign. Krasicki jako bis...
Krasicki w pamiętnikach E. A...
„Poselstwo do Rzymu“: R. Sob...
narodowy“: S. Sovetov „Do za...
satyrycznych w. XVIII (przekła...
w r. 1949 w Moskwie w „Uczeny...
Akad. Nauk S.S.S.R.“); R. Polla...
M. Klimowicz: „Ign. Krasicki wo...
Z. Kubikowski: „Godebski o ...
Dubiecka“; Tad. Mikulski: „J. ...
Ign. Krasickiego“; Tad. Gostyń...
Jan Reychman: „Rzekome przekłady Krasickiego na arabski i ich autor“. Nakładem „Książki i Wiedzy“ w Warszawie ukazał się przedruk „Historii na dwie księgi podzielonej“ Ign. Krasickiego w opracowaniu J. Ziomka (1952, str. XXXIII, 146 w serii „Bibl. Pisarzy Polskich i Obcych“, t. 63), który omówił ją nadto w „Pamiętniku Literackim“ XLI, 1950, str. 329-72. Wacław Kubacki w „Monachomachii przed sądem potomności“ (Warszawa, „Książka i Wiedza“, 1951, str. 80) naiwnie a tendencyjnie wychwala antymonarchizm i antyfeodalizm Krasickiego. Współpracę Krasickiego w czasopiśmie „Co tydzień“ analizuje J. Gawałkiewicz w „Pracach Polonistycznych“, XLIII, 1952, str. 867-893;

NARUSZEWICZ, Adam. H. Barycz: „O niedoszłym wrocławskim wydaniu Historii narodu polskiego“ („Zeszyty Wrocławskie“, VI, 1952, Nr 3, str. 107-116); „Pociecha w historii. Nieznany list A. Naruszewicza“. Ogłoszono z rękopisu w „Pamiętniku Literackim“, XLIII, 1952, str. 1046-8.

NIEMCEWICZ, Julian Ursyn. „Powrót posła. Komedia w 3 aktach“ wydana została w r. 1952 przez Zakł. Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu w serii „Nasza Biblioteka“ (str. 108). — W nrze 9 „Twórczości“ z r. 1951 (str. 113-27) znajdujemy „Fragmenty pamiętnika J. U. Niemcewicza“ z r. 1806, dotyczące m. in. pobytu w Filadelfii w r. 1806. Z. Skwarczyński: „Próba charakterystyki Dwu Sieciechów“ („Prace Polonistyczne“, VIII, 1950, str. 101-110): J. Dihm: „Jan z Tęczyna“ („Sprawozdania Polskiej Akad. Umiejętności“, LII, 1951, Nr 1, str. 11-15); M. Witkowski: „J. Ursyn Niemcewicz i Aniela Węgorzewska. 6 nieznanych listów z lat 1818-20“ („Pamiętnik Literacki“, XLIII, 1952, str. 1049-58).

przeglądem) ogłosił: „Trembec... ków“ w „Sprawozdaniach Polskiej Akad. Umiejętności“, LI, 1950, Nr 9, str. 568-575, „Trembeciana“ („Pamiętnik Literacki“, XLI, 1950, str. 885-933 i XLII, 1950, str. 908-16), „O języku i stylu Trembeckiego“ (Twórczość“, 1952, Nr 11, str. 137-151).

WĘGIERSKI, Tomasz Kajetan. J. Maciejowski: „T. K. Węgierski“, („Prace Polonistyczne“, IX, 1951, str. 83-100) — dotyczy m.i. pobytu Węgierskiego w Anglii.

WYBICKI, Józef. Ł. Kurdybacha: „Listy patriotyczne Józefa Wybickiego“ („Pamiętnik Literacki“, XLI, 1950, str. 717-51).

ZABŁOCKI, Franciszek. „Sarmatyzm“, wyd. Ludwik Bernacki i Tad. Mikulski. Nowe wyd. w „Bibl. Narodowej“ (Seria I, nr 115, str. LVIII, 152) nakł. Zakł. Narod. im. Ossolińskich we Wrocławiu (1951).

ZAŁUSKI, Józef Andrzej. Grzegorz Sinko omawia próby dramatyczne Załuskiego, a w szczególności „Ludzkość litującą się“ (1778) w „Pamiętniku Literackim“, XLI, 1950, str. 792-832. Sztuka oparta jest na „L'Humanité ou le Tableau de l'Indigence“, błędnie przypisywanej Diderotowi w wyd. pism jego w r. 1773.

ŻÓŁKOWSKI, Alojzy. A. Kowalska: „Zapomniana satyra polityczna i społeczna czasów Królestwa Kongresowego“ („Prace Polonistyczne“, X, 1952, str. 91-121) artykuł dotyczy „Momusa“ i „Potpourri“ (1820-1).

M. Danilewiczowa

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) Por. nry 23 (311), 27 (315), 36 (324), 40 (328), 45 (333), 49 (337), 3 (343), i 6 (346).

OBRAZKI Z ŻYCIA KRAJU

◆ BIADA WYSOKIM ◆

„Piszę w imieniu wszystkich nieszczęsnych mężczyzn, którzy są dość wysokiego wzrostu i do których ja niestety też się zaliczam (mam 182 cm).

Nieszczęśnicy, zdani na łaskę naszego przemysłu odzieżowego, nie mogą znaleźć gotowych ubrań, marynarek, wiatrówek czy też koszul odpowiednich do ich wzrostu.

W handlu brak (względnie zdarzają się bardzo rzadko) wymiarów ubrań (marynarek i wiatrówek) nr 52 i 54, koszul o kołnierzykach nr 43, 44 itp.

Jak informują mnie w sklepach sprzedawcy, większe rozmiary konfekcji i bielizny męskiej są bardzo szybko wykupywane. Wskazuje to na duży popyt na rynku na te wymiary, lecz niestety dystrybutorzy czy też wytwórcy nie chcą o tym wiedzieć.

Szukam od czterech miesięcy w Zielonej Górze, Poznaniu i Warszawie (Dom Odzieży na MDM) marynarki nr 54 welwetowej lub z materiału (ewentualnie wiatrówki), ale wciąż bez skutku.

Od 5 miesięcy szukam koszuli sportowej nr 43, też bez rezultatu. Podobnie rzecz się ma z rannymi pantoflami nr 43-44 (skórzane obuwie w tych rozmiarach też nie grzeszy większym asortymentem).

Zaczynam być popularnym w szeregu sklepów, do których z uporem maniaka chodzę stale pytać, czy nie ma poszukiwanego przeze mnie ubrania.

Na pewno w tej samej sytuacji znajdują się jeszcze setki ludzi w Polsce, a przecież są i wyżsi ode mnie. Dlaczego przemysł odzieżowy traktuje nas po macoszemu?“

(„Trybuna Ludu“ nr 15 z 1954)

◆ ZEGARY ◆

„Chciałem kupić zegar kominkowy. W sklepie nr 1 Przedsiębiorstwa Handlu Detalicznego „Jubiler“ na ul. Nowy Świat 27 znalazłem odpowiedni zegar (ciemny, z politurą koloru moich mebli, cena 492 zł), cóż kiedy nie bi-

dalszą jej część.

Deutscher wyraźnie sympatyzuje z Trockim, choć zarzuca mu pewne omyłki polityczne, np. w ocenie możliwości przewrotu komunistycznego w Niemczech. Zdaniem Deutschera, w lecie r. 1920 Trocki był przeciwnikiem marszu wojsk sowieckich na Warszawę; uważał, że należy armię czerwoną zatrzymać i wysunąć jawną propozycję pokoju. Zrobiłoby to, rozumował Trocki, korzystne wrażenie na społeczeństwie polskim. Jednak Lenin i większość Politbiura była za kontynuowaniem pościgu rozbitych wojsk polskich po Warszawę i dalej. Lenin był przekonany, że „robotnicy i chłopi“ polscy powitają najeźdźców jako wybawicieli. W ogóle — stwierdza Deutscher — przywódcy bolszewiccy byli mylnie poinformowani o nastrojach panujących w Polsce. Polscy chłopi i robotnicy potraktowali wkraczających żołnierzy sowieckich jako najeźdźców a nie jako oswobodzicieli — i wynikiem była klęska armii czerwonej.

(wytnij!) (wyślij!)

WZÓR ZAMÓWIENIA

Mr. J. Poray-Biernacki
47, Earls Court Road,
London, W.8. England

Załączając przekaz (czek, banknoty) na kwotę
zgłaszam subskrypcję na egz. powieści Janusza Jasieńczyka „Słowo o bitwie“ i proszę je wysłać pod adresem (pisać literami drukowanymi):

Imię i nazwisko:

Adres pocztowy:

Data: Podpis

Autor prosi subskrybentów o podawanie także obecnego zawodu, a b. żołnierzy SBSK o zaznaczenie przynależności do tej formacji.

Czytelnicy we Francji powinni wykreślić powyższy adres i zastąpić go podanym w apelu adresem J. Giedroycia.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.

Drodzy Czytelnicy!

Niedługo upłynie dziesięć lat od chwili rozpoczęcia przeze mnie pracy nad powieścią „Słowo o bitwie“, której tłem faktycznym jest bitwa Brygady Karpackiej pod Gazalą w Pustyni Zachodniej. Dotychczas opublikowałem w 9 czasopismach emigracyjnych 15 dużych fragmentów tej powieści.*) Szesnasty fragment został **wyróżniony na Konkursie Literackim** Radia Wolnej Europy w Monachium w ubiegłym roku. Ogółem gotowe jest 80% całości — ponad 200 stron druku. Mimo, że nie ukończona, powieść ta była już omawiana przez krytyków i bardzo dobrze przez nich przyjęta,**) a w r. 1952 **wyróżniona została nagrodą literacką K. O. W. „Veritas“ w Londynie.**

Od kilku lat pracuję jako tzw. „wolny pisarz“ dorabiając sobie różnymi dorywczymi zajęciami. Zdołałem napisać i wydać dwie pierwsze części trylogii powieściowej o Warszawie pod okupacją niemiecką („Walter 7,65“, wydane też po angielsku jako „Finger on the Trigger“ by J. B. Poray, i „Brunatne i czerwone“), ale pracę nad „Słowem o bitwie“ musiałem przerwać. Obecnie, wobec nieszczęśliwego splotu okoliczności, stanąłem przed trudnym problemem życiowym i artystycznym. Pomijając już fakt, że brak posady i stałych dochodów ze źródeł pozaliterackich skłania mnie do powrotu do pracy fizycznej, muszę się liczyć z tym, że zmiany, zachodzące w moim stylu i warsztacie literackim, nie pozwolą mi w przyszłości dokończyć „Słowa o bitwie“, które artystycznie wywodzi się nie z ostatnich powieści, lecz z mego pierwszego (już wy-

ZOFIA ROMANOWICZOWA

KSIĄDZ PIOTR

Najpopularniejszą osobą we Francji jest od kilku tygodni ksiądz Piotr-abbé Pierre. Jeżeli wszystkie tygodniki ilustrowane, nawet te od najtańszych sensacji, usunęły w cień fotografie gwiazd filmowych i króla Faruka na wygnaniu, to dlatego, że czytelnik, każdy czytelnik, pragnął przede wszystkim wiedzieć coś o abbé Pierre, zobaczyć go przy pracy. To, czego od tylu lat nie potrafił zdziałać żaden mąż stanu, żadna wybitna osobistość społeczna, żaden pisarz ani filozof, udało się w ciągu paru godzin skromnemu księdzu katolickiemu: zjednoczenie narodu francuskiego w wielkim porywie solidarności i miłosierdzia.

Księdza Piotra wyniosła na powierzchnię popularności wielka fala mrozów, która ostatnio nawiedziła także i Paryż. Z dnia na dzień w gazetach zaczęły ukazywać się wzmianki o ludziach zamarzłych na śmierć na ulicy, o dzieciach zamarzłych na śmierć w budach skleconych z dykty i starych desek. Czytającym te notatki w ciepłych domach nieszczuchom było pewno nieswojo na moment, ale to i wszystko. W Paryżu nie brak nigdy włóczęgów, popularnych „clochards", rezydujących pod mostami, wchodzących w skład swoistego folkloru stolicy, ostatnio będących nawet w modzie. W salonach delektowano się na przykład powieścią Jean-Paul Clébert, autentycznego włóczęgi, p. t. „Paris insolite", otaczającą świat spod mostów aureolą romantyzmu. Ten romantyzm cudzym kosztem w połączeniu z oschłością, egoizmem i wstrętem, bardzo mieszczańskim, do „wykolejeńców" (mimo upajania się „niesamowitym Paryżem"), pozwoliłby na pewno spać stolicy spokojnie dalej. Tymczasem z dnia na dzień mosty przestały być zacisznym legowiskiem, a o miejsce na kratach zamykających wyloty metra, skąd dochodziło nieco ciepła, zaczęły toczyć się walki na śmierć i życie. Śmierć zaczęła tropić ludzi po opustoszałych ulicach miasta, jak w lesie.

Wtedy rozległ się krzyk księdza Piotra, alarmujący sumienia. Na wzgórku świętej Genowefy stanął pierwszy jego namiot-przystań. Ksiądz Piotr zaczął przebiegać nocą ulice miasta i budzić przytulone do siebie, usiłujące nawzajem użyczyć sobie nieco ciepła, pod mostami, na niezabudowanych terenach, w ogródkach miejskich, figurki ludzkie. Od ogniska zapalonego na wzgórku świętej Genowefy zajął się cały Paryż. Powstały inne ośrodki, skupiające bezdomnych. Pod naciskiem opinii publicznej otwarto dla nich parę stacyj metra, a nawet sale merostw i komisariaty. Na przeciąg mrozów ogłoszono rodzaj „Treuga Dei": policja zbierała po ulicach bezdomnych i gościła w komisariatach bez legitymowania ich, nawet gdyby przy okazji obław miłosierdzia udało jej się położyć rękę na jakimś złoczyńcy. Ze wszystkich stron zaczęły na ręce księdza Piotra napływać dary w naturze, a jego konto urosło w miliony. On sam dwoił się i troił, dzieląc się między praktyczne organizowanie pogotowia miłosierdzia, a propagandę swojej sprawy. W sali olbrzymiego kina Gaumont sześć tysięcy ludzi zbiegło się dla niego i tak było na każdej z licznych konferencji, jakich udzielił. Ksiądz Piotr, jak na nowoczesnego apostoła miłosierdzia przystało, nie gardzi możliwościami, jakie dają radio i prasa.

Kim jest ksiądz Piotr? W berecie, w czarnej pelerynie, z nieodstępną laską, ma brodatą twarz pielgrzyma i konkretny, praktyczny sposób mówienia człowieka czynu. Nie stara się zmiękczyć zgromadzonych abstrakcyjnymi apelami, nie prosi, nie żebrze. Abbé Piotr żąda, abbé Piotr gromi bogaty, zasklepiony w sobie Paryż, abbé Piotr rzuca mu w twarz tę nędzę ludzką, za którą każdy z osobna i wszyscy razem są odpowiedzialni. Wśród śpiących pod mostami i zamarzających na śmierć w „wozach Drzymały" na przedmieściu marzną nie tylko nieuleczalni włóczędzy czy przestępcy, a i ci są ludźmi. Kryzys mieszkaniowy Francji jest ogromny, a przytem całe piętra domów zamieniono na rupieciarnie raczej, niż żeby miały stać się ogniskiem, chociażby przejściowym, dla jakiejś rodziny bez dachu nad głową. Tych pustych „chambres de bonne" na ostatnim piętrze domaga się ksiądz Piotr dla swoich bezdomnych — i słuchają go. Domaga się nowych osiedli, nowych domów,. Za fundusze, jakie na jego ręce spłynęły z całej Francji, rozpoczęto już budowę.

Co jest najbardziej charakterystyczne w tej akcji na ogromną dobrowolną skalę, to jej charakter zupełnie prywatny, spontaniczny. Rząd, władze kompetentne pozostały poza nawiasem, okazały tylko dobrą wolę, żadnej inicjatywy. Kiedy gazety ogłosiły, że premier rządu, Laniel, bardzo bogaty człowiek, wypisał księdzu czek na kilkadziesiąt tysięcy franków, żeby, jak się wyraził, nie pozostać na końcu, ironicznych i gorzkich komentarzy nie brakło. Istotnie ci, co powinni prowadzić, starali się jedynie, by nie być na końcu, zaś przewodnictwo ujęli ludzie nieznani, ludzie dobrej woli, z księdzem Piotrem i jego „towarzyszami z Emmaus" na czele.

Fala śmiertelnych mrozów nie była bowiem dla księdza Piotra pierwszą okazją do zetknięcia się z ludzką nędzą, jak dla wielu. Pochodzi on z bogatej rodziny lyońskich fabrykantów jedwabiu. Jego prawdziwe nazwisko to Henri G. Grouès. Historia jego jakby z „Gesta Romanorum" wyjęta. Rozdzielił między biednych przypadającą na niego część majątku i wstąpił do kapucynów, powiedziawszy swemu ojcu: „Chcę być najbiedniejszym z biednych". Słabego zdrowia, znosił dzielnie surową regułę, ale później napisze: „Sądziłem w klasztorze, że doświadczam głodu i chłodu. Nieprawda. Trzeba mi było pójść w świat, żeby je poznać naprawdę!" Wojna zastała go jako wikarego parafii świętego Józefa w Grenoble. Kartę wojenną ma bardzo piękną, czynnie bierze udział w ruchu oporu, przemyca ludzi za granicę. Imię „abbé Pierre" ma konspiracyjne początki. Po wojnie, za natchnieniem kardynała Suhard, miesza się do życia politycznego, reprezentuje jeden z departamentów na Zgromadzeniu Narodowym. Już wtedy zaczyna „podwójne życie". Deputowany w dzień, wieczorem wraca na przedmieścia, gdzie wynajęty przez niego dom skupia w sobie coraz więcej ludzkiej biedy. Dom jest duży, ale zrujnowany. Pierwsi lokatorzy, to i pierwsi murarze i pierwsi „towarzysze z Emmaus" zarazem. Takie przybrali miano. Dom księdza Piotra jest przystanią dla wszystkich potrzebujących, włóczęgów, rodzin wyrzuconych z mieszkania, pozbawionych pracy. Wszyscy żyją z jego pensji parlamentarnej, przebudowują i rozszerzają własnymi rękami dom, zarodek wspólnoty z Emmaus, Obok wyrastają prowizoryczne baraki i zaludniają się.

Kiedy się kończą pieniądze, ksiądz Piotr nie waha się zebrać. Ale towarzysze z Emmaus wolą pracę. Towarzysze księdza Piotra stają się gałganiarzami. Co świt ich grupa wyrusza z księdzem na czele na inspekcję odpadków miejskich. Stare gazety, szkło, żelastwo, posegregowane odpowiednio, przy racjonalnej organizacji pracy nie tylko ze utrzymują małą grupkę, ale i pozwalają na powolne budowanie.

Gdzieś pomiędzy porannymi inspekcjami śmietników mieści się powtórzony teraz przez wszystkie gazety epizod z życia księdza Piotra, przyczynek do Złotej o nim Legendy: udział w konkursie zagadek w czasie jednego z przedstawień cyrkowych, na którym wygrał dla Emmaus ćwierć miliona franków. W przeliczeniu na puste butelki po wodzie mineralnej musiał to być dla nich zupełnie sensacyjny uśmiech fortuny. Ale cenniejszą od tych pieniędzy była z pewnością dla księdza Piotra związana z wygraną sposobność przemawiania do mikrofonu przez siedem minut (konkurs był nadawany przez radio). Siedem minut wołał ksiądz Piotr o swoich bezdomnych. Nikt tego S.O.S. nie usłyszał.

Dopiero w styczniu tego roku śmierć staje się jego tragicznym agentem reklamowym. W jednym ze starych autobusów umieścili towarzysze z Emmaus rodzinę z małym dzieckiem, zanim, jak myśleli, uda im się wybudować dla niej „prawdziwy" dom. Niestety, maleństwo nie doczekało się tego. Umarło z zimna, zanim dom stanął pod dachem.

To była kropla, która przelała miarę cierpliwości księdza Piotra. Pisze list do ministra odbudowy. Kiedy Zgromadzenie dyskutuje bez końca nad kredytami na budowę, dzieci umierają z zimna. Ksiądz zaprasza ministra na pogrzeb.

Minister przyszedł. Musiała być w tym liście taka nuta, że niepodobna było go pominąć milczeniem. Z gołą głową minister brnął po błocie, ramię w ramię z gałganiarzami z Emmaus. Ale to nie zapobiega skandalowi. Z dnia na dzień imię „księdza gałganiarza" trafia na szpalty wszystkich gazet. I żeby ten pierwszy odruch nie ustał, fala mrozów przychodzi i do reszty zaostrza konflikt sumień. Ksiądz Piotr ujmuje ster miłosierdzia. Nie potrzebuje stawać do konkursu zagadek, żeby się dorwać na siedem minut do mikrofonu. Cała Francja, jej prasa, radio, telewizja są do dyspozycji księdza Piotra.

Mrozy minęły, ale ksiądz Piotr nie zasypia ognia w popiele. Czyż trzy tysiące bezdomnych, zebranych na ulicy i uratowanych przed śmiercią, ma znowu trafić pod mosty dlatego, że termometr podniósł się o parę kresek? W swój prosty, jędrny sposób nowoczesny „apostoł nędzarzy" tak w jednej z konferencji ujmuje bilans lutowego pogotowia:

„Według ostatnich obliczeń można ocenić na miliard franków sumy zaofiarowane przez całą Francję jednomyślnie na osiedla nagłej potrzeby, aby w naszej epoce, w cywilizowanym kraju, dzieci nie umierały z zimna albo brudu. Jeden miliard, zebrany bez gwarancji, nie na żaden procent, na ręce paru prywatnych osób, wczoraj jeszcze całkiem nieznanych!"

Na mocy całkiem formalnego zobowiązania się przez ministra, gałganiarze z Emmaus będą mieli możność kontroli nad nową pożyczką, która ma być rozpisana. „Kontrola będzie surowa, możecie mi wierzyć, tak przy wpływach jak i przy wydatkach" — zapewnia ksiądz. — „Jeżeli siłą naszych 250 towarzyszy jest niewinność, to jednak grzebanie w śmietnikach dodaje im sprytu...", żeby nie było przypadkiem mowy o jakichś fikcyjnych przelewach czy też zapychaniu dziur w budżecie sumami przeznaczonymi na osiedla pierwszej potrzeby.

Wspomniawszy o innej stronie problemu, o śpiących pod gołym niebem, ksiądz Piotr niepokoi się, żeby miłosierdzie nie stopniało wraz ze śniegiem. Merostwa, stacje metra, komisariaty zamykają jedne po drugich swe bramy. „Czyżby wielu uczyniło ten gest tylko dla lepszego samopoczucia? Mrozy minęły, ale trzy tysiące bezdomnych pozostało i znów są na ulicy. Myśmy pokazali drogę, choć nie jesteśmy ani towarzystwem dobroczynnym, ani biurem opieki społecznej — przeciążeni jesteśmy innymi zadaniami i nie czynimy cudów. Cóż by to znaczyło, gdyby cała nasza akcja ograniczyła się do tego, by im nie dać umrzeć."

Ksiądz Piotr broni się przed rozproszeniem funduszów tylko na doraźne zasiłki. Całą energię kieruje na budowanie. Towarzysze z Emmaus zaprzysięgli sobie postawić trzy tysiące mieszkań...

W zakończeniu ksiądz Piotr powiada:

„Myśmy byli pchłą, co ze śmietnika skoczyła na stół możnych tego świata. Jeśli się obudzili, wrócimy do śmietnika. Jeśli nie, będziemy dalej gryźli..."

Żadnej pozy i żadnej sztuki w słowach i czynach człowieka, którego imię wymienia się jednym tchem obok takich imion, jak św. Joanna d'Arc czy św. Wincenty a Paulo i który, tak jak oni, potrafił obudzić możnych i nie tylko możnych Francji. Na pewno nie da im zasnąć z powrotem.

Zofia Romanowiczowa

JÓZEF ŁOBODOWSKI

KASYDA ELEGIJNA

Karawana uchodźców rozciągnięta na gościńcu,
mrok i plucha — oto obraz zwyczajny.

Domy i ogrody, zniszczone przez barbarzyńców,
śmierć Fatmy i hańba Sulajmy.

Gdzieżeście, czasy wielkich Ommajadów,
gdzie miecz,
którym się przepasywał Abd al-Rahman?

Chwała kalifów zniknęła bez śladu
i rządzi uzurpator i szachraj.

Tyle miast, które wróg okrutny zniszczył,
tyle ludzi wymordowanych!

Noc przechodzi wśród popiołów i zgliszczy,
przesłaniając zaropiałe rany.

I próżno do białego czekać rana,
nie doleci do celu strzała myśli tępa,
gdy serca są w łachmanach,
gdy sumienia w strzępach!

Gdy lęk odbiera dłoniom prawowiernych
moc, która sztandar wznosiła Proroka;

gdy mchem i pleśnią zarosły cysterny,
a tłumy tchórzy poznajesz po krokach;

gdy rdza na toledańskim zjawia się żelezie
i próchno zżera trzciny fletów;

gdy do lochów rzucono kadich, a muezzin
boi się chwałę Bożą głosić z minaretu.

Gdy na próżno uciekinierzy,
że w innych królestwach lud przed nimi się wzbrania,
prawdę usiłują szerzyć
o krwawych prześladowaniach;

a chociaż nikt im nie przeczy,
żaden z władców, emirów ni imamów
nie podniesie sztandaru ku odsieczy
konającego za miedzą Islamu.

Studnia krzywdy wypełniona po brzegi,
zguba w astrologicznych wypisana znakach.

I tylko goryczą bezsilnych elegij
zarastają usta śpiewaka

Józef Łobodowski

GUARESCHI CONTRA DE GASPERI

Od kilku tygodni na łamach prasy włoskiej toczy się sensacyjna batalia między przywódcą stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji we Włoszech, Alcide de Gasperim a redaktorem tygodnika satyryczno-politycznego „Candido", słynnym pisarzem Giovanni Guareschim.

Guareschi opublikował w „Candido" facsimile listu, który de Gasperi miał wysłać dnia 19 lutego 1944 do kwatery wojsk sprzymierzonych w Salerno, wzywając ich do bombardowania obiektów wojskowych na przedmieściach Rzymu oraz wodociągu rzymskiego, celem wywołania buntu ludności przeciwko Niemcom i faszystom.

List napisany został na papierze listowym „Sekretariatu Stanu Jego Świątobliwości". Publikując ów rzekomy dokument Guareschi w ostrych słowach napiętnował de Gasperiego jako polityka, nazywając go przezwiskiem „cecchino" (jest to pogardliwa nazwa na Austriaków, ale może mieć również takie mniej więcej znaczenie, jak nasz „Wasserpolak").

Po ogłoszeniu tego listu wybuchła wrzawa. Wydawca „Candido", firma Rizzoli w Mediolanie, oświadczyła, iż nie bierze odpowiedzialności za wystąpienie Guareschiego. Pisma Chrześcijańskiej Demokracji ogłosiły oświadczenie agencji A.N.S.A. stwierdzające, iż list opublikowany w „Candido" jest fałszerstwem i że de Gasperi występuje na drogę sądową przeciw redaktorowi tygodnika o zniesławienie. Bardzo gwałtownie wystąpił również „Osservatore Romano" stwierdzając, iż rzekomy dokument jest fałszerstwem, jakie już wielokrotnie popełniano. Ojciec św. nazwany został przez Włochów „Defensor Civitatis", gdyż Jemu przede wszystkim Rzym zawdzięcza swoje ocalenie od zniszczenia przez bombardowanie.

Prasa chrześcijańskich demokratów wszczęła ostrą kampanię przeciw Guareschiemu dowodząc, iż „nie jest on wcale katolikiem".

Guareschi w sposób spokojny i rzeczowy polemizuje zarówno z pismami Ch. Demokracji, jak i z „Osservatore Romano". Stwierdził przede wszystkim, iż nie miał najmniejszego zamiaru mieszać w całą tę sprawę autorytetu Stolicy Apostolskiej. De Gasperi był w czasie wojny bibliotekarzem w Watykanie i mógł mieć dostęp do papierów listowych Sekretariatu Stanu, z czego wcale nie wynika, by Sekretariat Stanu miał żywrować wystąpienie de Gasperiego. Przeciwnie, de Gasperi nadużył autorytetu Stolicy Apostolskiej, chcąc wobec aliantów wystąpić w roli polityka faworyzowanego przez Watykan.

Guareschi pragnie zdemaskować przywódcę włoskich chrześcijańskich demokratów jako „polityka bez skrupułów" i nic więcej. De Gasperiego określa on jako polityka „wojny domowej". Na miano „cecchino" zasłużył sobie de Gasperi, ponieważ w swych mowach politycznych często nazywał sam siebie „Trentino", Trentyńczykiem, który się poświęcił sprawie Włoch.

Proces wykaże, czy opublikowany przez Guareschiego dokument jest autentyczny, ale nie wydaje się, aby redaktora „Candido" można posądzać o świadome posługiwanie się fałszerstwem. A już najmniej celowe jest wiązanie partii politycznej, choćby i katolickiej, z Głową Kościoła katolickiego.

S. A. PIEKUT

Ś.P. PROF. ENRICO DAMIANI

Dzesiątego grudnia ub. r. zmarł w Rzymie profesor Enrico Damiani, jeden z największych slawistów europejskich, znakomity znawca literatury polskiej i wielki przyjaciel Polski.

Działalność naukowa Damianiego ograniczała się początkowo do jednego narodu, to jest do Bułgarii, z upływem czasu poczęła się poszerzać na inne narody słowiańskie i na różne zagadnienia, przede wszystkim na język i literaturę. Pracował niesłychanie wydajnie i do końca życia, a zmarł nagle i przedwcześnie, w toku przygotowywania nowych publikacji. Miał ich dotąd ponad 60, wydanych oddzielnie nie licząc artykułów ani recenzji rozsianych po różnych pismach. Nie pisał dzieł obszernych, lubił raczej ograniczać się do jednego problemu lub fragmentu, ale zawsze cyfra tak pokaźna wzbudza podziw swoim ogromem. Można się dziwić i słusznie, skąd jeden człowiek brał tyle czasu na pracę naukową, skoro musiał poświęcać wiele czasu i na wykłady uniwersyteckie i na działalność bibliotekarską związaną z jego funkcją dyrektora biblioteki sejmowej i na życie rodzinne i wreszcie na służenie radą i pomocą tym wszystkim, którzy się do niego zwracali.

W początkowej fazie swej działalności naukowej zajmował się najwięcej literaturą bułgarską. Z Bułgarią był związany, bo wykładał na uniwersytecie w Sofii, był współredaktorem pisma literackiego „Bulgaria", a największą jego pracą, powstałą w wyniku długoletnich doświadczeń w dziedzinie pedagogicznej jest podręcznik uniwersytecki „Corso di lingua bulgara" przeznaczony dla młodzieży włoskiej. Jest to podręcznik jedyny w swoim rodzaju, wzór do nauczania języka obcego dla ludzi dorosłych, a przede wszystkim dla młodzieży uniwersyteckiej. Autor w swojej metodzie oprócz zdobyczy pedagogicznych posługiwał się również własnym wieloletnim doświadczeniem.

Po minionej wojnie światowej wykładał literaturę bułgarską w uniwersytecie rzymskim, literaturę polską i bułgarską w Instytucie Orientalnym w Neapolu, wreszcie był do niedawna dyrektorem biblioteki sejmowej.

Jako profesor, mimo że wymagał wiele, należał do tych rzadkich a mile przez młodzież wspominanych wykładowców, którzy swoją uprzejmością, swoim taktem, kulturą i wiedzą ściągają do siebie słuchaczy. Każdy, kto studiował kiedykolwiek na wyższej uczelni wyniósł zapewne wspomnienie o profesorach, od których stronią studenci, nie zawsze z powodów naukowych i o takich, do których lgnie młodzież. Damiani należał do tych ostatnich, mimo że wykładał literatury słowiańskie, niezbyt, poza rosyjską, popularne we Włoszech. Jeśli chodzi o zainteresowanie się literaturą słowiańską we Włoszech, to wielkie zmiany w sensie pozytywnym zaszły po pierwszej wojnie światowej, a najwięcej przyczynił się do tego właśnie Enrico Damiani. Wychował sporo młodych slawistów, którzy dziś biorą udział w życiu kulturalnym Włoch. Zachęcał do studiów, pomagał radą, wskazywał źródła, służył swoją prywatną biblioteką.

Na zainteresowanie się przedmiotem wpływa, co jest jednym z podstawowych kanonów w nauczaniu, stosunek nauczającego czy choćby tylko wykładającego do przedmiotu. Otóż Damiani jako profesor był idealny. Bił z niego jakiś młodzieńczy zapał, a jego bezpośredniość, prostota, jego życzliwość usuwały wszelki dystans między słuchaczem i tworzyły mu z niego przyjaciela. Podczas wykładów lubił wtrącać jakiś żart, nigdy sarkastyczny, który bawił i uczył. Wielu ze studentów zapisywało się na jego wykłady z szacunku dla jego osoby. Jeśli szukalibyśmy porównań na gruncie Polski, to najbardziej zbliżonym odpowiednikiem Damianiego byłby Ignacy Chrzanowski, zmarły w obozie niemieckim.

Jako uczony zajmował się całym światem słowiańskim, szczególniej zaś literaturą bułgarską, polską, rosyjską i słoweńską. Z Rosjan interesował się między innymi Turgeniewem, Ostrowskim, z nowych Gorkim i innymi pomniejszymi. Z Jugosłowian najbliżsi mu byli Słoweńcy.

Szczególnie serdeczny był jego stosunek do Polski. Pierwszy raz przybył do nas wkrótce po odzyskaniu naszej niepodległości, gdy państwo polskie jeszcze „ząbkowało", a na murach Warszawy nie zostały zatarte jeszcze napisy rosyjskie. Potem wielokrotnie jeździł do Polski, aż do wybuchu ostatniej wojny. W ciągu tych wielokrotnych pobytów w Polsce poznał nasz kraj, wsie i miasta, naszych ludzi. Zaznajomił się z uczonymi, literatami wszędzie zyskując przyjaciół. Wyrosła z tego miłość do naszego kraju i naszej literatury. Potem zaczął propagować polską literaturę w swoim kraju. Można powiedzieć, że do jego czasów słabo była ona znana we Włoszech. On pierwszy zaczął ją rozpowszechniać na szerszą skalę. A były z jego pracy życzliwość, spontaniczność i umiłowanie naszego kraju. Nie wszyscy uczeni mają tę właściwość. Są tacy, którzy mogą znać dobrze jakiś kraj i jego dzieje, ale go nie kochać.

Bardzo bogato przedstawia się dział tłumaczeń E. Damianiego. Tłumaczył naszych autorów ze wszystkich epok, odkąd datuje się nasza literatura piękna w pełnym tego słowa znaczeniu. A więc J. Kochanowskiego (Treny), Sz. Szymonowicza (Sielanki), P. Skargę (Drugie kazanie sejmowe), A. Morsztyna, I. Krasickiego (Bajki), A. Mickiewicza (Sonety krymskie, Farys, Świteź, Pomnik Piotra Wielkiego z Dziadów cz. III), Z. Krasińskiego, J. Słowackiego (Godzina myśli), H. Sienkiewicza (Stary sługa, Hania, Latarnik, Janko muzykant, Wyrok Zeusa), B. Prusa (Antek, Katarzynka), Wł. Reymonta, Żeromskiego. Z późniejszych i współczesnych tłumaczył M. Pawlikowskiego, W. Orkana, W. Sieroszewskiego, K. Tetmajera, Dygasińskiego, Bandrowskiego, K. Wierzyńskiego, J. Wiktora, G. Zapolską, K. Makuszyńskiego, J. Kasprowicza. Pomyśleć, jaki ogrom nazwisk, ale to nie wszystko, bo oprócz tłumaczeń pisał artykuły i obszerne prace. Do takich należą „I narratori della Polonia d'oggi" (Berent, Orkan, Makuszyński, Goetel, Kossowski, Grabiński), „Due grandi prosatori Polacchi: Żeromski e Reymont". Z pomniejszych „Il posto di Roma nella cultura e nella litteratura polacca".

Szczególnie ulubionymi byli mu Kochanowski, Mickiewicz, Sienkiewicz i Kasprowicz. Z tym ostatnim łączyło go coś więcej. Przetłumaczył niektóre Hymny Kasprowicza jeszcze za jego życia, o czym autor Hymnów dowiedział się na krótko przed zgonem. Później w czasie bytności swojej w Zakopanem interesował się ciągle autorem Hymnów, prowadził długie o nim rozmowy z wdową po zmarłym, Marią Kasprowiczową, o czym wspomina ona potem w swoich pamiętnikach.

Jeśli mowa o zainteresowaniach Damianiego literaturą polską, nie można pominąć milczeniem prac, których nie zdołał wykończyć. Przygotowywał bowiem antologię literatury polskiej w tłumaczeniu na język włoski, miał pewne prace gotowe, opracował również gramatykę języka włoskiego dla Polaków, lecz jej nie wydał.

Ktoś, kto będzie szerzej omawiał jego działalność naukową nie może pominąć również i bibliografii i literatury włoskiej, którymi się zajmował. To oddzielna gałąź.

Na osobną wzmiankę zasługuje Damiani jako człowiek. Mimo wytężonej pracy naukowej znajdował czas na życie towarzyskie zawsze w swoim gronie, był wesołym druhem, lubił żartować, unikał wówczas rozmowy na tematy poważne. Pasjonowały go wycieczki. Dom jego stał zawsze otwarty dla wszystkich, którzy szukali u niego zrozumienia i pomocy, bo profesor ułatwiał wielu osobom znalezienie zajęcia. Miał przyjaciół nie tylko w najbliższym otoczeniu, nie tylko wśród swojego narodu, ale miał ich również w każdym kraju słowiańskim, w świecie literackim i naukowym.

W dzisiejszym życiu, w epoce rozwiniętego nacjonalizmu, walk ustrojowych i politycznych, jego duch, który wznosił się ponad wszystkie zacietrzewienia, był jakby uosobieniem kultury Zachodu, tej kultury, z której wyrośliśmy, a która przechodzi ostatnio tyle wstrząsów. W jego otoczeniu nikły wszelkie spory polityczne, narodowe i inne, biła od niego miłość do człowieka. Można by powiedzieć, że w życiu kierował się zasadą, którą głosił u nas Żeromski, że „miłość należy siać między ludźmi jak złote zboże"...

Pośrednim powodem śmierci Damianiego była utrata jego syna. Zginął on przed kilku laty w wycieczce wysokogórskiej, w Alpach. Od śmierci syna nie wrócił Damiani do poprzedniej równowagi duchowej, więc, by zabić ból, szukał zapomnienia w pracy. W pogrzebie Damianiego uczestniczyły tłumy ludzi, co było wyrazem popularności, jaką się cieszył. Na cmentarzu, na Vomero, grób jego pokryły obszerne wieńce, a wśród nich znajdował się i skromny biało-czerwony wieniec emigracji polskiej. Między osobami, które go odprowadziły na wieczny spoczynek była również i grupka młodzieży z Instytutu Orientalnego w Neapolu, do którego profesor tak był przywiązany.

W Damianim tracimy jednego z największych orędowników kultury polskiej wśród obcych.

S. A. Piekut

N O W O Ś Ć
PAPIEŻ MÓWI:
DUCH LUDZKI POZNAJE WSZECHŚWIAT
(1. 9. 1952)
Przemówienie do astronomów
Zeszyt 6-ty serii 3-ej
DOKUMENTÓW NAUKI KOŚCIOŁA
Cena 1/-, z przesyłką 1/3
VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W.2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 7 marca 1954 r.

NUMER 350

Bieżący numer ŻYCIA, z datą 7 marca 1954, jest 350-ym z kolei. Przez 8 lat istnienia ŻYCIE starało się służyć polskim katolikom poza Krajem jako pismo religijne i kulturalne.

Z roku na rok nasze obowiązki i zadania wzrastały, aż doszło do obecnego stanu, kiedy wobec likwidacji niezależnej prasy katolickiej w Polsce, spadł na nas obowiązek zastąpienia, choćby w drobnej mierze, twórczości pisarskiej katolików w Kraju.

Przez 8 lat ŻYCIE borykało się z niezliczonymi trudnościami. Materialne znosiliśmy ze spokojem i wiarą w pomoc Bożą; cięższa była dla nas obojętność i letniość katolików polskich na emigracji oraz otwarta nienawiść, która postępowała i postępuje za nami jak cień. Jako katolicy wiemy jednak dobrze, że ten cień musi towarzyszyć wszystkiemu, co jest dobre i prowadzone w imię Boże. Do walki zawsze jesteśmy gotowi. Nie nadarmo Kościół na tej ziemi nosi miano Wojującego.

REDAKCJA

O „SPRAWIE JÓZEFA MOSTA"

Od niedawna Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie dość regularnie urządza wieczorki literackie, z których kilka było bardzo udanych. Toteż należało się spodziewać, że gdy zapowiedziano dyskusję dra Tymona Terleckiego i Zdzisława Broncla o książce Herminii Naglerowej pt. „Sprawa Józefa Mosta", nagrodzonej ostatnią nagrodą Związku Pisarzy, publiczność walić się będzie do Instytutu im. gen. Sikorskiego drzwiami i oknami. Niestety, poza małą garstką osób, które przychodzą na wszystkie imprezy tego rodzaju, publiczność nie dopisała.

Wygląda na to, że londyńskich Polaków mało obchodzą sprawy polskiej literatury. Swe potrzeby kulturalne opędzają jedną akademią patriotyczną rocznie. Ich strata...

Wieczór poświęcony „Sprawie Józefa Mosta" był o tyle ciekawy, że wykazał wszystkie niedomagania anemicznej krytyki emigracyjnej. Po pierwsze, mało kto się nią interesuje, po drugie, problemami estetycznymi krytyka zajmuje się tylko marginesowo, po trzecie, krytycy widzą wszystko w kolorach czarno-białych. Gdy coś jest czarne, nie mówią o tym w ogóle. A to, o czym mówią, to wszystko arcydzieła albo prawie arcydzieła.

Gdy się słuchało wywodów dwóch krytyków, uderzała różnica w ich postawach. Tymon Terlecki proponuje zmierzyć grubość i ilość warstw, z których się składa dzieło. Zdzisław Broncel interesuje się powierzchnią książki.

Trudno byłoby polemizować z tezami wygłoszonymi na wieczorze przez p. Broncla, nie sposób jednak pominąć milczeniem przynajmniej niektórych z nich. Dyskusja jest o tyle trudna, że nie wiadomo, co p. Broncel rozumie przez niektóre słowa, jak np. „instynkt". W sledztwie, utrzymywał na przykład, następuje taki moment, kiedy „nie pomaga już modlitwa ani Bóg" i jedyną ostoją jest wtedy instynkt. Rozsądzanie, czy modlitwa i Bóg w czymkolwiek pomagają, czy nie — nie należy do krytyka literatury, tym bardziej, że odpowiedź zależy od wiary odpowiadającego. Ale skąd tu się bierze ten instynkt? I co to za instynkt? Samozachowawczy każe wszystko wyznać i opowiedzieć się po stronie prześladowców. To właśnie rozum i wola, choć systematycznie osłabiane, opierają się sędziemu śledczemu. A chyba żaden inny instynkt nie ma nic do rzeczy — ani macierzyński ani zachowania gatunku, ani żaden, jaki sobie możemy pomyśleć.

Swe wywody p. Broncel zaczął od pochwały pierwszego zdania książki Naglerowej, które brzmi: „Dzieje Marii, zanim doszła do trzydziestego szóstego roku życia, były wypadkową warunków, w jakich się wychowała, kształciła, pracowała zarobkowo i wyszła za mąż". W strukturze całości książki zdanie to może pełnić niezmiernie doniosłą funkcję, tym niemniej zawiera ogromne uproszczenie, które byłoby modne ze 100 lat temu, gdy żył, działał i niepoprawnie myślał Karol Marx. Dziś marksizm wystarcza polityce, ale krytyk, gdy widzi głupstwo, powinien o tym wiedzieć.

O stylu książki mówił pokrótce Tymon Terlecki. Podkreślił on ogromną zwięzłość, którą osiągnęła autorka. Dr Terlecki zaprotestował również, gdy Z. Broncel doszukiwał się jakichś głębokich nurtów politycznych w książce na wskroś psychologicznej.

Prof. Stanisław Stroński, który przewodniczył, zreasumował dyskusję i stwierdził, że jego zdaniem dyskutanci we wszystkim się zgadzali. Tola Korian odczytała fragment powieści o śpiewaniu kolęd.

Na zakończenie przemawiała autorka. Z dyskusji słuchacze mogli wywnioskować, że „Sprawa Józefa Mosta" jest książką co najmniej wielką, przemówienie Naglerowej jednak wniosek taki musiało rozbić. Pisarz wszystko, co ma do powiedzenia, powinien zamknąć w swoją książkę. Herminia Naglerowa natomiast przez wiele minut mówiła o swej bohaterce.

W. G.

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH NA OBCZYŹNIE

urządza dnia 9 marca (wtorek) o godz. 7.30 wieczorem w „Ognisku Polskim" (55, Exhibition Road) wieczór autorski

CZESŁAWA STRASZEWICZA

Urywki utworów odczyta:
TOLA KORIAN
Słowo wstępne wygłosi:
HERMINIA NAGLEROWA
Przewodniczyć będzie:
STANISŁAW STROŃSKI

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

STOPIĘĆDZIESIĘCIOLECIE ZGONU KANTA. Dnia 12 lutego br. minęło sto pięćdziesiąt lat od zgonu filozofa niemieckiego Immanuela Kanta. Kant był synem siodlarza, z pochodzenia Szkota, którego rodzina osiedliła się w Królewcu. Całe swe długie życie — dożył lat osiemdziesięciu mimo wątłego zdrowia — spędził w tym mieście, które dzisiaj pod panowaniem sowieckim nosi nazwę Kaliningradu.

W artykułach swych niektóre pisma brytyjskie wspominają o szkockim pochodzeniu Kanta. BBC w trzecim programie poświęciło mu audycję profesora London School of Economics Karla R. Poppera, która później pod tytułem „Philosopher of the Enlightement" ukazała się na łamach „Listenera".

Interesujące polskie studium psychologiczne pt. „Portret Kanta" napisał w czasie ostatniej wojny Bolesław Miciński, zmarły wr. 1943 w Grenoble. Studium to ukazało się w cztery lata później nakładem Instytutu Literackiego w Rzymie; poprzedzili je wstępami Konstanty Regamey i ks. Augustyn Jakubisiak.

EZRA POUND JAKO KRYTYK. Jeden z czołowych poetów awangardy w okresie dwudziestolecia międzywojennego Ezra Pound, przebywający obecnie w domu dla obłąkanych w Stanach Zjednoczonych, zajmował się także i zajmuje nadal — krytyką literacką. Świeżo nakładem londyńskiej firmy Faber and Faber ukazał się wybór jego szkiców krytycznych pt. „Literary Essays of Ezra Pound" (cena 30 sh.). Wyboru dokonał T. S. Eliot, który w przedmowie do książki wyraża się o pracach krytycznych Pounda z entuzjazmem. „ Mam nadzieję — pisze — że tom ten zaświadczy, iż twórczość Pounda w dziedzinie krytyki literackiej zajmie pierwsze miejsce wśród współczesnych prac krytycznych tego typu". Zdaniem Eliota, Pound powiedział o sztuce pisania, a w szczególności o sztuce pisania poezji, wiele rzeczy, które mają wartość trwałą; dokonało tego tylko niewielu krytyków. Poza tym wiele z tego, co powiedział Pound, szczególnie zaspokaja potrzeby naszych czasów. „Pound — konkluduje Eliot — jest bardziej odpowiedzialny za rewolucję XX-wieczną w dziedzinie poezji, niż ktokolwiek inny".

Nieco inne stanowisko zajmuje znany pisarz i krytyk Cyryl Connolly w swej recenzji zbioru essayów Pounda, jaką ogłosił w „Sunday Times". Uważa on szkice Pounda za bardziej interesujące od jego listów czy przekładów; zarzuca mu jednak, że nie zawsze potrafił się utrzymać w granicach sensiego rozumowania i że umysłowość jego, przy całym swym wielostronnym bogactwie, jest „niedbała i mętna" („casual and muddled"). Zdaniem Connollyego, na podstawie znanego poematu T. S. Eliota „The Waste Land" większy wpływ wywarł Laforgue i inni poeci niż Pound, któremu rzecz ta została dedykowana. Connolly wyraża też wątpliwość, czy tacy poeci jak Auden i zmarły niedawno Dylan Thomas zawdzięczają cokolwiek Poundowi.

RYSUNKI TOULOUSE-LAUTRECA. Toulouse-Lautrec jest jednym z niewielu wybitnych artystów, których życie, w postaci zresztą upoetyzowanej, odtworzone zostało w filmie o dobrym poziomie estetycznym, jakim był obraz amerykański „Moulin Rouge". Równocześnie pojawiają się raz po raz albumy, reprodukujące spuściznę artystyczną Toulouse-Lautreca, a raczej te jej części, które do tej pory pozostawały w ukryciu.

W roku ubiegłym wydany został w Nowym Jorku album z reprodukcjami szkiców Toulouse-Lautreca z okresu lat 1879-1880, kiedy artysta wraz z matką przebywał w Nicei, lecząc się ze skutków złamania obu nóg. Obecnie w Paryżu, nakładem firmy Berggruen et Cie, pojawił się nowy album z tego samego okresu młodzieńczej twórczości Toulouse-Lautreca. Nosi on tytuł „Album de Marine", obejmuje bowiem niemal wyłącznie rysunki i akwarele związane z morzem, statkami i marynarzami.

Reprodukcje są tak świetne, że robią wrażenie oryginałów. Z drugiej strony, nawet pani Dortu, która opatrzyła album komentarzem i objaśnieniami, stwierdza chłopięcą niedojrzałość rysunków; jej zdaniem jednak można się w nich dopatrzeć bystrości obserwacji, a nawet występującego w pełni dopiero później mistrzostwa wykonania.

W marcu znajdzie się w sprzedaży rozprawa
KS MGR STANISŁAWA CYNARA
p. t.

IGNACY RACZYŃSKI

ostatni prymas Polski porozbiorowej i jego działalność duszpasterska w okresie Księstwa Warszawskiego

Książka kosztować będzie 10/-
obecnie
jednak można ją zamawiać w przedpłacie po zniżonej cenie 7/6.

VERITAS FOUNDATION BUBLICATION CENTRE
12, PRAED MEWS, LONDON, W.2

TEATR

„THE SLEEPING PRINCE"

Od szeregu miesięcy tłumy londyńczyków pchają się i jeszcze długo będą się pchały do teatru Phoenix na „okolicznościową bajkę" pod powyższym tytułem, napisaną przez zdolnego autora lekkich komedii i fars, Terence Rattigana. Usiłował on połączyć wciąż jeszcze kwitnącą w Anglii modę na operetkowych królów i arcyksiążąt bałkańskich (w olśniewających mundurach) z tradycyjną angielską komedią salonową. „Śpiącym królewiczem" jest arcyksiążę Karol, regent mitycznej Karpatii (Laurence Olivier), którego z długiego snu, tj. z życia bez miłości, budzi oddana amerykańska aktorka Mary Morgan (Vivien Leigh). Przy okazji usiłuje ona zaszczepić regentowi nieco zasad demokracji i załagodzić zamach stanu, grożący mu ze strony nieletniego syna, króla Mikołaja VIII. Rzecz dzieje się w Londynie w r. 1911, dokąd obaj władcy Karpatii przyjechali na koronację Jerzego V.

Stwierdzić jednak trzeba, że owi operetkowi władcy lepiej wychodzili w rzeczywistych operetkach, czy komediach muzycznych w stylu Ivora Novello, albo w idącym obecnie w Drury Lane **The King and I** (o podobnym temacie przeniesionym do równie egzotycznego Syjamu), gdzie tańce i przyśpiewki łagodziły pustkę samego tekstu. Jeśli zaś chodzi o stronę salonową, komedia polegająca na sytuacji i epigramach, której punkt szczytowy wyraził się w sztukach Oskara Wilde'a, zeszła dziś na dno upadku. W ostatniej sztuce Rattigana sytuacje są tak ograne jak tylko można sobie to wyobrazić, wątek po prostu nie istnieje, a dowcipy w rodzaju, że **Król Lir** to „delightful little play" albo że przeklinać najlepiej jest po niemiecku, bo Niemcy mają najlepsze przekleństwa i karabiny maszynowe, nie bawią nic a nic. Rattigan nie mógł napisać słabszej sztuki. Zamierzał on co prawda dać satyrę na ten operetkowy świat, ale wyszła raczej niezamierzona groteska.

Jednak publiczność wydaje się być zadowolona, bo wszystkie postacie tej „bajki" są utytułowane i ubrane w mieniące się złotem mundury i toalety i plotkują o królewskich skandalikach. Poza tym występują przecież słynni aktorzy. Laurence Olivier z niemieckim akcentem gra swoją typową rolę tak jakby się nabijał z tego wszystkiego. Vivien Leigh — z amerykańską wymową dla odmiany — dzielnie walczy z nieprzekonywującą rolą. Podobnie i reszta trupy, zwłaszcza Martita Hunt jako arcyksiężna i młody Jeremy Spenser jako król Mikołaj.

Reżyserował Olivier. To, że artysta tej miary występuje w takiej sztuce, dowodzi w jakim upadku jest dramat w tym kraju i jak zależny od kasowości i schlebiania mniej wybrednym gustom.

B. Taborski

SUBSKRYPCJA NA POWIEŚĆ J. JASIEŃCZYKA

Do bieżącego numeru ŻYCIA dołączamy ulotkę w sprawie przedpłaty na powieść Janusza Jasieńczyka „Słowo o bitwie", nagrodzoną w roku 1952 przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas Nagrodą Młodych. Prosimy Czytelników o poparcie tej przedpłaty.

Janusz Jasieńczyk jest autorem zbioru nowel i opowiadań „Po Narwiku był Tobruk" i powieści „Walter 7,65" i „Brunatne i czerwone" oraz krytykiem literackim i filmowym. Od pięciu lat stale współpracuje z wydawnictwami Veritasu.

NASZA KSIĄŻKA NA ROK MARYJNY

O. M. W. Bernadot O.P. MATKA BOSKA W NASZYM ŻYCIU. Z francuskiego przełożyła Maria Przyłucka. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn 1953. Stron 190. Cena 15/-.

Z dniem 8 grudnia rozpoczął się Rok Maryjny w Kościele katolickim. Celem Mariańskiego Miłościwego Lata jest uczczenie z jednej strony rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, z drugiej zaś głębsze zapoznanie się z Maryją i serdeczniejsze Jej pokochanie. Dlatego Papież Pius XII zaleca w swej encyklice „Fulgens Corona" włączanie Maryi we wszystkie dziedziny życia ludzkiego, by je uświęcać i czynić źródłem większej radości i zasług na niebo.

W celu lepszego poznania i serdeczniejszego pokochania Maryi oraz uczynienia Jej cząstką nieodłączną naszego życia duchowego, indywidualnego i społecznego, księgarnia VERITAS wydała wspaniałą i ze wszech miar godną polecenia książkę ojca Bernadot'a, znanego i zasłużonego pisarza na polu literatury ascetycznej.

Trudno o lepszą książkę o Maryi na Rok Maryjny! Z niezrównaną finezją i ścisłością logiczną, a przy tym treściowo bardzo bogato ujmuje autor Maryję w naszym życiu. Przede wszystkim położył on nacisk na rolę Maryi w dziedzinie łaski: w pierwszej części mówi o odrodzeniu z łaski, wzroście w niej dzięki Maryi, o roli Maryi w dziedzinie sakramentalnej oraz o owocach prac naszych i obowiązków, wypływających z powołania i współdziałania z łaską. Uległość, posłuszeństwo, prawdziwie maryjne FIAT — to jakby zaokrąglenie rozważań pierwszej części tej wspaniałej książki.

W drugiej części znakomicie ujmuje o. Bernadot różne aspekty modlitwy i rolę w niej Maryi, a przede wszystkim to, iż Maryja przygotowuje nas do dobrej modlitwy i uczy nas modlić się z radością i wiarą.

Wreszcie w trzeciej części ukazuje czcigodny autor Maryję jako pośredniczkę naszą w zjednoczeniu naszym z Bogiem w osiągnięciu pełni doskonałości. Tutaj ukazuje się naszym oczom Maryja jako opiekunka życia duchowego, pośredniczka i w końcu jako Matka u tronu Najwyższego, sama będąc Córką umiłowaną Ojca, Matką Syna i Oblubienicą Ducha Świętego.

Jak widzimy więc, Maryja praktycznie obejmuje całe nasze życie od zarania, kiedy rodzimy się doń, przez łaskę, uczy nas i towarzyszy w korzystaniu ze środków i źródeł łask, wreszcie wprowadza nas w tajniki Miłości w łonie Trójcy Przenajśw., przed tym jednocząc nas przez tajemnice Chrystusowe i ofiarę Jego i z Nim naszą, na większą chwałę Bożą. Dzięki więc Maryi wypełniamy nasze powołanie chrześcijańskie doskonałości i świętości.

Jako wniosek całości rozważań autor zachęca do bezkompromisowego oddania się Maryi i ustawicznego życia w Jej obecności i w zjednoczeniu z Nią, „ponieważ — jak się sam wyraża — postęp wasz w obowiązkach względem Boga, Kościoła i was samych będzie szybszy, aniżeli gdybyście stosowali jakiekolwiek inne ćwiczenia" (str. 185).

Systematyczne ujęcie różnych aspektów życia duchowego chrześcijańskiego stanowi główną zaletę tej książki. Ponadto prostota stylu i łatwy język czynią książkę przyjemną w czytaniu. Takiej książki o Maryi na uchodźstwie był nam bardzo wielki brak. Szczęśliwie brak ten został wypełniony.

PO ŁEPKACH

KRUCJATA MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

Witold Gombrowicz w swojej dziwacznej, ale napisanej z wielkim talentem powieści p.t. „Transatlantyk" roztacza wizję Zakonu Zakrzywionej Ostrogi. Oto Polacy na obczyźnie, targani wyrzutami z powodu swej bezsilności i niepotrzebności, umyślili, by się nawzajem sposobić do wielkich czynów poprzez zadawane sobie pospólnie męki i katusze. „A bo nikt się Poczciwości naszej nie przestraszy, Straszni być musimy!"

Jeśli po stu latach jakiś cierpliwy polski historyk zgromadzi źródła do dziejów naszej emigracji i zacznie ich badanie, obleje się z pewnością zimnym potem. Weźmie do rąk dzieła zbiorowe Stanisława Mackiewicza i dowie się, iż Polska stanisławowska jaśniała blaskiem cnót w porównaniu z obłędem, sprzedajnością i cynizmem Małej Emigracji. Dowie się z tych dzieł historyk, że tylko garstka takich, jak Mackiewicz, patriotów przestrzegała, ale słowa jej darł wiatr na strzępy. Weźmie historyk Jędrzeja Giertycha i dowie się, że Piłsudski był agentem angielskim, że Polska na dobrą sprawę była wolna tylko za Chrobrego, bo zaraz potem spętała ją masoneria, żydostwo, międzynarodówki. Któż w latach Małej Emigracji kochał ojczyznę i myślał politycznie? Grupa przyjaciół Jędrzeja Giertycha. Weźmie historyk Zdzisława Stahla i z ulgą pomyśli, że nareszcie znalazł się ktoś, kto tyle trudu włożył, aby obalić fałszywą legendę Dmowskiego. Weźmie pisma Pragiera i dowie się, że tylko jego geniusz doprowadził do triumfu demokracji w Polsce przedmajowej. Weźmie innych i dowie się, że Sikorski knuł ze Stalinem spisek, jak powstrzymać wywiezienie Polaków z Rosji i ponownie zesłać ich na Kołymę, pod Archangielsk, w tundrę.

Jakiego materiału dostarczą przyszłym dziejopisom roczniki emigracyjnych czasopism? Dowiedzą się z nich przede wszystkim, że racje mieli zawsze tylko redaktorzy i publicyści poszczególnych pism, że inni istnieli tylko po to, aby zdradzać, bruździć, brać obce pieniądze, szafować polską krwią, ośmieszać sprawę polską. Oto felietonista, który egzaminuje z patriotyzmu, a stosuje tylko jedną cenzurkę: niedostatecznie. Oto pismo, które lepiej wie, co trzeba czynić, niż partyjnicy, niż rząd, niż obce rządy, niż politycy, niż mędrcy, niż prorocy. Dziejopis literatury z łatwością ustali, że książki wydawane w latach Małej Emigracji wszystkie były niepotrzebne i złe, a nawet kalendarze prowokowały uczucia i szargały świętości.

Jeżeli historyk uwierzy dokumentom, które pozostaną po naszej emigracji, napisze o niej mniej więcej tak: „To, co współcześnie pisano w Kraju w prasie komunistycznej było zbyt łagodne w porównaniu ze straszliwym upadkiem rozumu i moralności tych nieszczęsnych emigrantów." Jeśli zaś nie uwierzy, napisze: „Byli to wszystko rycerze Zakonu Zakrzywionej Ostrogi, których straszyła poczciwość, a straszni chcieli być przez wzajemnie sobie zadawane katusze". W obu wypadkach sąd potomności nie będzie brzmiał pochlebnie.

Zostawmy wszakże troskę o historię przyszłym pokoleniom. Na czas teraźniejszy jest tylko jedna jedyna rada: miłość bliźniego. Jeżeli ten przebrzmiały frazes wywołuje tylko wzruszenie ramion, spróbujmy metody intelektualnej zabawy. We wszystkich starych cywilizacjach poświęcano pewne dni w roku jakimś szczególnym ideom czy zwyczajom. Był np. dzień, kiedy panowie usługiwali służbie, były dni ścisłego postu, dni żałoby itd. W nowszych czasach wymyślono święta państwowe, dzień matki, dzień oszczędności, święto gór, a nawet dzień konia.

Wprowadźmy na emigracji zamiast „dnia konia" — dzień miłości bliźniego! Tego dnia, powiedzmy 3 maja („vivat wszystkie stany"), politycy zejdą się na kubek herbaty, uścisną sobie ręce i spojrzą sobie w oczy. „Orzeł Biały" napisze artykuł o zasługach dla sprawy polskiej Rady Politycznej, „Myśl Polska" i „Robotnik" poświęcą po pełnej stronie omówieniu akcji Skarbu Narodowego, „Jutro Polski" napisze, że faszyści polscy mają przez jeden dzień w roku lucidum intervallum, „Kultura" napisze, że niektóre książki wydane nie przez nią są też pożyteczne i nie zawsze są nabieraniem naiwnych czytelników, felietonista napisze, że oprócz niego tego dnia, wyjątkowo, jeszcze kilku innych rodaków ma prawo pozostawać na emigracji.

W polskich programach radiostacji usłyszymy, że oprócz ekip w nich zatrudnionych istnieją także inni pisarze i publicyści. Malarze... cóż radzić malarzom? Może tyle tylko, aby tego dnia oglądali wyjątkowo nie swoje obrazy. A kawiarnie i kluby polskie podadzą kawę i ciastka, wyjątkowo, po cenach przystępnych.

Wieczorem — polonez. W pierwszą parę puści się Pan Prezydent z żoną górnika z Yorkshire, za nim w pląsach wszystkie zbratane stany, stronnictwa, frakcje. Prezes Arciszewski z Generałową, Pani Arciszewska z Pragierem, Ciołkoszowa z Sopickim, Bielecki z Zahorską, Kuncewicz z Terlecką. Kiedy się już pary na dobre zadyszą, wówczas przyjdzie toast: „Kochajmy się!" i szybko trzeba się będzie rozchodzić, aby zdążyć na ostatnią kolejkę.

A nazajutrz powrócimy do własnej skóry. I znów będzie: PPS, SN, SL, SLOJN, SP, LN, ChD, NID, NKS, KZW, SWW.

Ale żarty na bok! Różnice zdań, sprzeczności, starcia są w życiu społecznym nieodzowne. Nie jest uczciwie twierdzić, że partie polityczne wiodą bezsensowne spory. Spory te są bardzo sensowne i od ich przebiegu zależy nie tylko sprawa polska, ale i sprawa każdego z nas, jako jednostki. Inne bowiem będą dusze polskie, kiedy zgodzą się dobrowolnie na dyktaturę, inne, jeśli zwycięży w nich poszanowanie dla zdania drugich. Inne będą nasze losy w ustroju materialistycznym, inne w państwie katolickim. Ale we wszystkim jest granica. Tą granicą jest miłość bliźniego.

Gdyby się nią powodowali politycy, to by nie czyhali na każde najdrobniejsze potknięcie się przeciwników, nie krzyczeliby wniebogłosy o policję przy byle niefortunnym sformułowaniu stylistycznym pisma innego obozu, nie demonizowaliby drugich, widząc w nich wyłącznie szkodników, zdrajców i obcych agentów. Jeśliby stronnictwo Białych istotnie kochało Polskę tak, jak pisze, cieszyłoby się z każdego sukcesu Czerwonych w związku ze sprawą Polski. Gdyby Pułkownicy tak namiętnie czcili Ojczyznę, nie pomniejszaliby jej do swojego obozu. Gdyby Pisarze byli tak zakochani w dziejach Polski, nie szpiegowaliby i nie denuncjowali niesympatycznych sobie postaci.

W polityce naszej jednakże i w całym naszym życiu i postępowaniu jest oczywiście Ojczyzna, jest sprawiedliwość społeczna, jest demokracja, jest tradycja, są ideały narodowe, jest nawet chrześcijańska cywilizacja, a brak jest tylko jednego drobiazgu: miłości bliźniego. Któż się odważy przypomnieć o niej publicznie?

Krucjaty w wiekach średnich wypływały niewątpliwie z gorącej miłości wiary, ale nie z miłości bliźniego. Dlatego Bóg im nie błogosławił. Świat współczesny tęskni za krucjatą miłości bliźniego. Tęsknią do niej narody i prości ludzie. A do miłości nie potrzeba wielkich armii ani przemierzania lądów. Miłość zaczyna się na odległość naszych ramion.

Jan Bielatowicz

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego.. c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście - 50% drożej na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro. Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 57, Queen Street W., Toronto 1 **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Schammerstr 4. Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński** Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street Utica N. Y. oraz **M. Kijowski** — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich. oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761 Fillmore Ave, Buffalo 12,, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr. B. Kurowski** — Lund. Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme. Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.